

BESKID

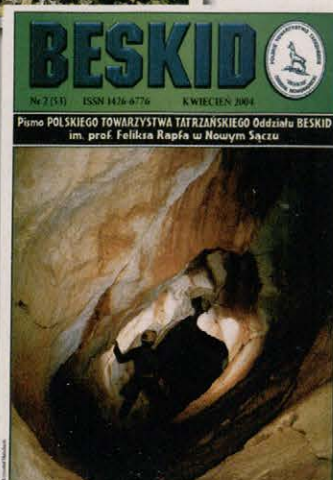
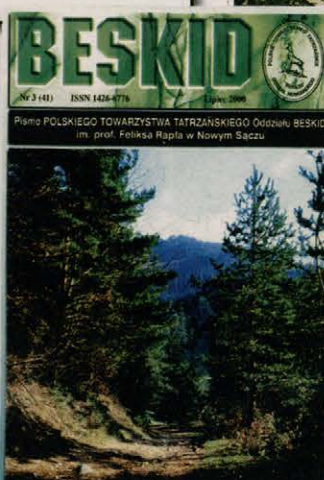
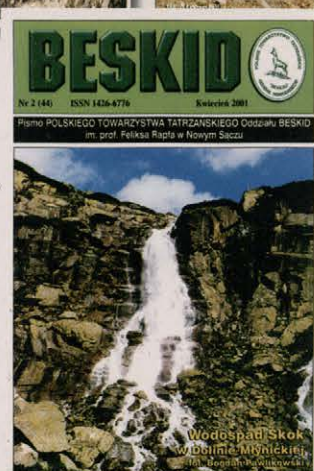
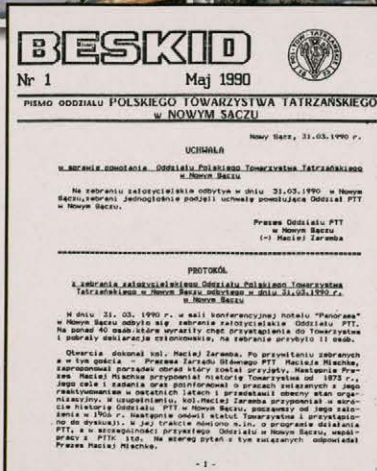
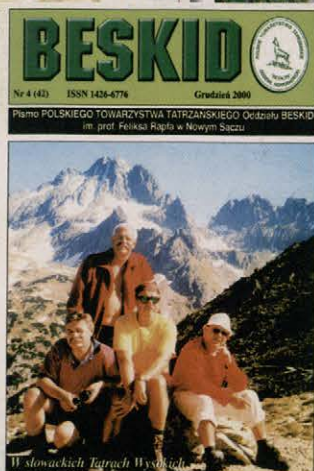
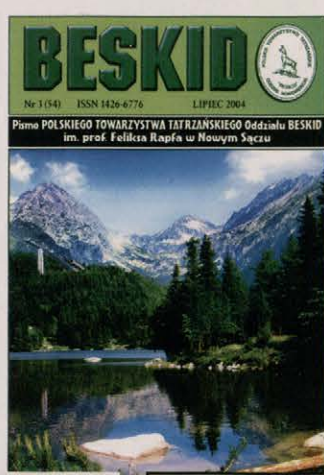


Nr 2 (60)

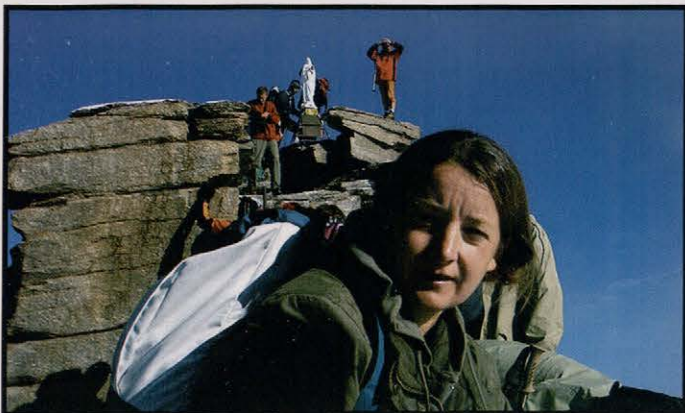
ISSN 1426-6776

Grudzień 2006

**Pismo POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO Oddziału BESKID
im. prof. Feliksa Rapfa w Nowym Sączu**



Alpy i Pireneje 2006



Ten jubileuszowy, 60-ty numer „Beskidu” postanowiliśmy poświęcić wspomnieniom i przedstawiamy czytelnikom wybór z tego, co znalazło się na ponad 1 100 stronach w dotychczasowych 59 numerach naszego oddziałowego pisma.

Zapraszamy do czytania i wspominania.

Okupacyjna zabawa w górskie rekordy

Pani Gabriela Danielewicz, autorka „Pamiętnika Sądeczanki”, przysłała nam z Gdańska recenzję wydanej na Wybrzeżu pracy Jerzego Kotlarskiego i Piotra Połomskiego „Strzelcy Podhalańscy - AK. Oddziały partyzantkie w Sądeckim i na Podhalu”. Znajdujemy w niej ciekawą informację o swoistych zawodach, rozgrywanych wśród kurierów Polski podziemnej, kursujących na Słowację i Węgry. Otóż istniała między nimi pewna rywalizacja, polegająca na jak najszybszym przejściu trasy z Rytra przez Połom na Przehybę. Niewątpliwie, zabawa ta stanowiła dla kurierów odprężenie w czasie ciężkiej i niebezpiecznej służby.

„W 1940 roku rekord tego marszu, wynoszący 1 godzinę 36 minut, uzyskał Tadeusz Sokołowski - „Ogór”. Mimo licznych prób, rekord ten nie był do pobicia. W 1942 roku zespół: Mieczysław Chrzanowski i Jerzy Kotlarski uzyskał największe przybliżenie, pokonując tę trasę w czasie 1 godz. 42 min. Wiosną 1943 zespół: Mieczysław Chrzanowski, Zbigniew Kmiec i Adam Krzyształowicz, uzyskał fantastyczny czas 1 godz. 27 min. Rekord „Ogóra” został pobity i taki pozostał do dzisiaj”.

Swoją drogą, ciekawe, jak na tle tych bohaterów z czasów okupacji, wypadliby kondycyjnie nasi PTT-owscy szybkiebiegacze górcy? Bo - co tu ukrywać, są i tacy. Czekaemy więc, koledzy, na zgłoszenia uzyskanych czasów!

„Beskid” 2(18) 1994

Z archiwalnej półki

Regulamin porządku w schroniskach Towarzystwa Tatrzańskiego

1. Każdy gość, który znalazł przytułek w schronisku Towarzystwa Tatrzańskiego powinien się wystrzegać przedewszystkim tego wszystkiego, co drugiemu niemiłe.
2. Żaden gość nie może rozporządzać całymi ubikacjami* i zamykać się w nich ze szkodą dla drugiego.
3. W razie znaczniejszego napływu osób do schroniska następuje taki ich rozdział, że w jednych lokalach - osobno panie, osobno panowie mieścić się winni bez względu na

przynależność do tego lub owego grona towarzyskiego.

4. Przez noc /począwszy od godz. 9. 00 aż do 7.00 z rana / winien się każdy w schronisku tak zachować, aby drudzy bez przeszkody spać mogli.
5. Tańców żadnych w obrębie schroniska ani na trawie tak we dnie jak i w nocy odprawiać nie wolno.
6. Po zajęciu wszelkiej pościeli w schronisku przez obecnych gości, później przybywający winni zadowolić się tem, że znajdą schronienie pod dachem.
7. Wolność palenia cygar i tytoniu w schronisku zależy od pozwolenia sąsiadów jednocześnie tam bawiących. Ze względu na palność materiału uprasza się o zachowanie wszelkiej ostrożności.
8. W szopie nie wolno palić żadnego światła, jak niemniej tytoniu i cygar. W razie koniecznej potrzeby może być użyta latarnia, ale tylko w obecności gospodarza.
9. Kto się niezasługuje do przestrzegania powyższych przepisów, traci prawo do korzystania z pobytu w schroniskach Towarzystwa.

Z Zarządu Towarzystwa Tatrzańskiego
w Krakowie 15.06.1888 r.

„Beskid” 1(28) 1997

* ubikacją określano wówczas pomieszczenie mieszkalne, a nie jak obecnie - WC (red.)

Z archiwalnej półki

Co turysta winien mieć w plecaku

Oto zalecenia Romana Nitribitta i Zygmunta Hetpera dotyczące wyposażenia plecaka turysty górskiego, zamieszczone w przewodniku „Krynica, Żegiestów, Muszyna okolice”, wydanego w 1929 roku:

Co należy przedewszystkiem mieć w plecaku? Przedewszystkiem żywność i blaszaną flaszkę z wodą, zapasowe skarpetki i pończochy, ewentualnie bieliznę na wypadek przemoczenia, drobne przybory toaletowe i ewent. przybory do gotowania na ognisku, pozatem garnuszek (kubek) zawsze jest konieczny. Worek turystyczny powinien mieć średnio ciężar 10 kg. Znowu niewtajemniczeni kiwają głową z niezadowolaniem. Otóż proszę przyjąć do wiadomości, że 10 - letni chłopiec lub słaba panienka noszą na plecach bez przykrości i zmęczenia ciężar 5 kg, a człowiek dorosły nieprzyzwyczajony 8 kg. Turysta normalnie nosi 12 kg, a na dłuższych wybieżkach 15 kg. Kompletna i maksymalna zawartość worka turysty jest następująca:

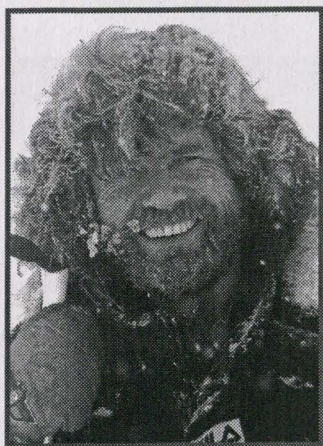
- Peleryna nieprzemakalna.
- Koc ciepły lekki i cienki.

- Bielizna, 1 - 2 zmiany.
- Pończochy i skarpetki 2 - 4 par.
- Rękawiczki niciane i ciepłe.
- Buty zapasowe (w braku turyst.).
- Pantofle najcieńsze i najlżejsze.
- Sweter cienki w dobr. gatunku.
- Woreczki płóciennie na różne drobiazgi.
- Flaszka metal, płaska, obszyta wołokiem na 3/4-1 l na wodę.
- Flaszka metal, płaska na spir. 1/2l.
- Manierka maleńka na koniak.
- Pudło aluminiowe na wiktuały.
- Maszynka spir. turyst. z dwiema miseczk.
- Saganek na 2 - 3 l z szer. dnem i uchem.
- Scyzoryk turystyczny (harcerski).
- Garnuszek płaski emalj. na 1/4 l.
- Łyżka i łyżeczka, nóż, widelec wsuwane.
- Puszki metal. różne (na masło, marmeladę, sól, herbatę i.t.d.)
- Wiktuały: (na osobę i dobę).
- Chleb, bułki, suchary, chleb Simona i.t.p. - 500 gr.
- Masło, smalec, słonina - 100 gr.
- Szynka, kiełbasa, polędwica, konserwy i.t.d. - 50-100 gr.
- Jaja 4, sery, bryndza i.t.d. - 50 gr.
- Czekolada - 50 gr.
- Owoce suszone (śliwki) - 50 gr.
- Cukier-100 gr.

- Marmelada, konfitury, cytryny.
- Herbata, cukierki.
- Grysik, buljon, kostki Maggi, sól.
- Woda (zabrać z najwyższego źródła).
- Spirytus do palenia.
- Przybory toaletowe:
- Mydło, ręcznik, szczotka, szczoteczki, grzebień, przybory do golenia, (dla pań rurki, szpilki, siatka grubsza na włosy, puder i.t.d.), wazelina, gliceryjell, nożyczki.
- Aparat fotograficzny, klisze, statyw.
- Siekierka lekka i piłeczka sztywna składana.
- Latarka turystyczna składana.
- Apteczka:
- Plaster kauczukowy („leuko”) przeciw otarciom, łój salicylowy, wata, opaska, jodyna, krople na żołądek, krople na serce, aspiryna lub t.p., koniak.
- Mapy, kompas, aneroid, przewodniki - legitymacje i pieniądze.
- Zegarek (z budzikiem). Namiot złożony na części. Worek do spania.
- Drobiazgi: sznurki, sznurowadła, drut, przybory do szycia, agrałki, świece, zapalaki, płótno nieprzemakalne (batyst, Bilrota) do owijania legitymacji i pieniędzy, notatnik, ołówki, odpis z rozkładu jazdy, smar do butów.

„Beskid” 2(29) 1997

Szczyt jest niczym, powrót wszystkim



Tak zatytułowany jest wywiad, którego udzielił „Gazecie Wyborczej” znakomity himalaista Reinhold Messner. A oto fragmenty - w kilku przypadkach - kontrolowanych a może i szokujących jego wypowiedzi:

...W wysokich górach nie ma miejsca na moralność... W ekspedycji wysokogórskiej każdy jest odpowiedzialny za siebie, zaś grupa jest odpowiedzialna za grupę. Alpinista powinien działać tak, aby

nie narażać na ryzyko innych... Sądzić, że za śmierć Wandy Rutkiewicz odpowiedzialny jest Carlos Carsolio... Zupełny bezsens. Carsolio nie miał nic wspólnego ze śmiercią Wandy. Ona natomiast miała jak najwięcej wspólnego z własną śmiercią. Była szalona. Poszła tam, gdzie nie powinna chodzić. Ona jest odpowiedzialna za swoją śmierć... Polacy powinni raz na zawsze skończyć z bohaterstwem w wysokich górach. Jeśli grają takich bohaterów, sami są odpowiedzialni za śmierć, nie Meksykanie, Włosi czy ktokolwiek inny. Dlaczego ja mam być odpowiedzialny za zwariowanych polskich wspinaczy...

Rzeczywiście zginęło wielu dobrych wspinaczy, najlepszych w latach 80. ... Zabiła ich konkurencja z Polski, która pchała ich w miejsca, w które może nie powinni iść... Mnie również oskarżono, że doprowadziłem do śmierci Jerzego Kukuczki. Mnie nie było wtedy na Lhotse. Ja byłem na Antarktydzie... Ale w gazetach dziennikarze napisali: zabiła go rywalizacja z Messnerem. Ja nie robiłem z Kukuczką zawodów... Po wypadkach w latach 80. nikt już nie chce być odpowiedzialny za nikogo. Teraz największym wspinaczem nie jest ten, który trzy razy ryzykował życie i za czwartym razem zginął - co naprawdę jest bardzo łatwe - ale ten, który wspiął się raz, dwa razy, setkę razy i za każdym razem wracał. Szczyt jest niczym, powrót wszystkim. Tylko to się liczy... Tragedia tych, którzy przeżyli, jest bez porównania większa niż tych, którzy zginęli. Ktoś jest martwy i koniec... Polacy mieli bardzo dużo wypadków i o tym też trzeba pamiętać (w górach zginęło czterech bezpośrednich partnerów Kukuczki). Rutkiewicz była najlepszą alpinistką wszechczasów i nikt nie podważy jej sukcesów. Ale była zbyt stara, aby wspiąć się na Kanczendzongę. Nikt w Polsce jej nie powiedział: „Wanda, nie jest dobrze wspiąć się tam, mając około pięćdziesiątki”. Nigdy nie poszedłbym w góry w takim wieku, aby się zabić. Są mniejsze góry, są inne doznania...

„Beskid” 2(33) 1998

Jak Piłsudski w Sączu brodę ogolił

Kiedym się obejrzał, że Moskale są pobici, było już za późno na jakiegokolwiek znaczniejsze czyny. Nawet pościg, który zarządziłem, nie dał już rezultatów, doprowadził mnie jedynie szybciej, niż by to było w innych warunkach, do Nowego Sącza.

Tym razem wchodziłem do miasta bez poprzedniego ostrzeliwania. Wchodziłem spokojnie, jak za czasów pokoju. Przyjemne to było wejście do miasta - miałem tylko dużo kłopotu ze swoją Kasztanką. Wysłałem do Nowego Sącza naprzód swoich ułanów, sam zaś maszerowałem z piechotą. Belina doniósł mi, że w mieście przygotowują specjalną owację na cześć moją i mego oddziału.

Podjeżdżałem do miasta już wieczorem. Kasztanka już na most na Dunajcu, podziurawiony przez wybuchy, kręciła głową, uważając, że jest zanadto niebezpieczny dla jej szanownego istnienia. Za mostem - wjazd do ciemnej ulicy z nieprzyjemnie brzmiącym pod podkowami brukiem powiększył jej przykrości. Z trwogą nastawiała już uszy. Lecz wreszcie rynek. Jasno oświetlony, czarny od tłumy. Gdym się na nim na Kasztance ukazał, rozległ się krzyk całego tłumy i padły pociski z kwiatów. Tego już było stanowczo za wiele dla mojej wiejskiej klaczy, zwinęła się pode mną i chciała uciekać od owacji. Nie udało mnie kosztowało, by ją po prostu wepchnąć na rynek. Szła przez szpaler ludzki ostrożnie, nieledwie zatrzymując się co parę chwil. Czułem pod sobą, jak nieszczęśliwe

stworzenie szukało ucieczki. Musiałem Kasztankę ciągle pchać naprzód, tak iż po wyjeździe z rynku poznałem i ją, że owacja coś kosztuje. Czułem doskonale, że mam nogi, tak miałem je zmęczone.

Nowy Sącz przyjął nas nadzwyczajnie serdecznie. A te rozkosze „wielkomiejskie”! Elektryczne światło, kawiarnie, wanna, fryzjer. Zgoliłem sobie tam brodę, którą utrzymać w porządku na wojnie jest nadzwyczaj trudno. Bawili mnie potem moi żołnierze, którzy przy spotkaniach na ulicy udawali, że mnie nie poznają. Oddawali mi honory z rozmyślnym ociąganiem się, by mieć okazję do przeproszenia, że wskutek zgolenia brody nie mogli mnie jakoby od razu poznać. Oficerowie mówili mi, że wśród żołnierzy postanowiono przy pierwszym marszu wołać za mną: „Oddaj brodę”. Na szczęście nie przyszło do tego.

Do Nowego Sącza, już po moim wyjeździe stamtąd, ściągnęły i oddziały z Nowego Targu. Mój plan obrony Doliny Nowotarskiej, jako ostatniej piędzi ziemi polskiej, chwała Bogu, nie doszedł do skutku i podhalańska moja, wymarzona w ciągu listopada, krwawa epopeja ograniczyła się wstępem do niej w bojach Limanowa-Marcinkowice.

*(fragment wspomnień Józefa Piłsudskiego
„Moje pierwsze boje”
„Beskid” 4(35) 1998*

Powstało Koło Przewodników PTT

Z inicjatywy absolwentów zakończonego w grudniu ubiegłego roku kursu przewodników beskidzkich i terenowych zorganizowanego przez nasz Oddział, 9 stycznia powołane zostało Koło Przewodników PTT. Zrzesza ono zarówno tych najmłodszych stażem, jak i przewodników z uprawnieniami zdobytymi w PTTK a będących członkami PTT.

Podczas zebrania założycielskiego omówiono sprawy organizacyjne i programowe oraz wybrano władze Koła na najbliższą kadencję:

Prezes - Jerzy Gałda

Wiceprezysi - Wiesław Piprek, Wiesław Wczesny

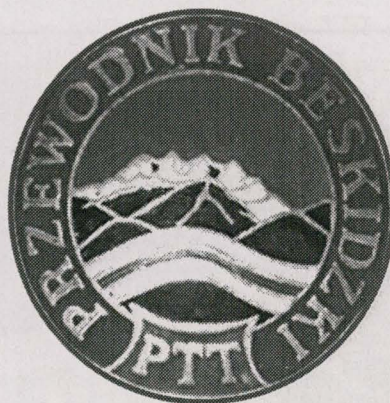
Sekretarz - Marta Treit

Skarbnik - Marek Wojsław

Członkowie - Ryszard Patyk, Wojciech Szarota

Ustalono, że zebrania Koła odbywać się będą w drugie środy każdego miesiąca o godz. 17 w lokalu Biblioteki

Publicznej przy ul. Lwowskiej 21. W celu podnoszenia kwalifikacji przewodnickich zaplanowane są systematyczne szkolenia teoretyczne i praktyczne.



Odznaka przewodnicka zaprojektowana przez art. plastyka Józefa Pogwizda

ŚLUBOWANIE PRZEWODNICKIE

W sobotę 6 lutego, w surowych zimowych warunkach, na Radziejowej - najwyższym szczycie Beskidu Sądeckiego - odbyło się uroczyste ślubowanie absolwentów naszego kursu przewodnickiego. W pięknej, zimowej scenerii złożyli oni ślubowanie a następnie otrzymali legitymacje i „blachy” przewodnickie. Dal-szy, nieoficjalny ciąg imprezy miał miejsce w budynku szkoły w Zagorzynie koło Łącka.

Tekst ślubowania:

Ja, przewodnik beskidzki ślubuję: wzorowo i sumiennie pełnić obowiązki przewodnika, otaczać opieką powierzonych mi turystów, przekazywać im rzetelną wiedzę o naszym kraju i rozstawać jego piękno, uczyć miłości do gór, propagować idee ochrony przyrody i środowiska naturalnego oraz zabytków kultury narodowej, wpajać poczucie patriotyzmu oraz kultywować piękne tradycje Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Ślubuję dbać o godność i honor przewodnika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

„Beskid” 1(36) 1999

Doczekała się Ziemia Sądecka

Nie wiem jak inni, ale ja czekałam. Na kanonizację bł. Kingi i aby ta uroczystość była wspaniała i by celebrował ją Jan Paweł II - głowa Kościoła, nasz rodak, nasz papież.

Kiedy w 1996 r. w tygodniku „Echo” napisałam kilka słów o Papieżu-Rodaku i zakończyłam tekst jego słowami skierowanymi do zebranych w Dolinie Chochołowskiej: „Ja tu jeszcze do was przyjadę, w spokojniejszej chwili...” (a był to 1983 rok), znajomi pytali mnie: „Czy ty wierzysz, że papież przyjedzie na Ziemię Sądecką?”

Po cichu marzyłam o tym, ale miałam coraz większe wątpliwości. Aż do 27 listopada 1998 roku, do momentu gdy przeczytałam, że zamknął się proces kanonizacyjny bł. Kingi w watykańskiej Kongregacji do Spraw Świętych i że 3 grudnia tegoż roku przyjedzie do Starego Sącza o. Roberto Tucci - szef ochrony papieża z 40-osobową delegacją, by w asyście naszych biskupów zbadać, czy wokół Starego Sącza znajdzie się odpowiednie miejsce na wizytę papieża. Wcześniej prasa donosiła o zaproszeniu przesłanym do Ojca Św. przez 17 gmin naszego regionu.

Gdy nastąpiło oficjalne potwierdzenie, że przyje-dzie, zaczęły się przygotowania: i duchowe, i miejsca, gdzie miała się odbyć celebra – na starosądeckich bło-

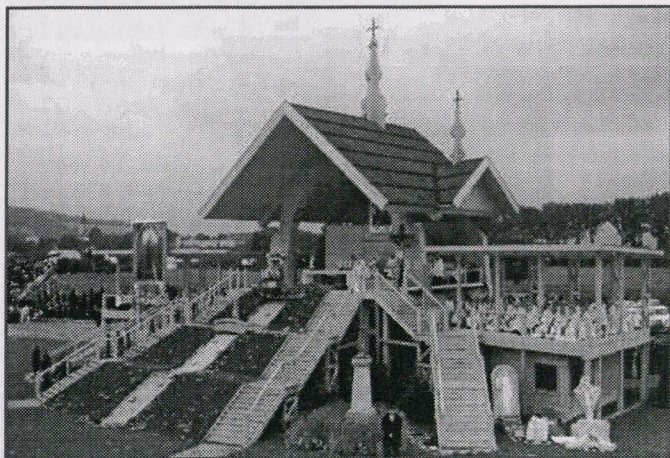
niach, niedaleko stacji PKP. Od pierwszych dni 1999 roku, w każdej parafii, prawie na każdym niedzielным kazaniu, księża i czytane przez nich listy Episkopatu przygotowywały nas do tej ważnej chwili, która miała nastąpić 16 czerwca 1999 roku.

Przyjazd tak dostojnego gościa zobligował i władze i poszczególne instytucje do urządzania konkursów, wystaw, przedstawiania misterii, wierszy autorstwa Karola Wojtyły. Odsłaniano tablice upamiętniające jego pobyt na Ziemi Sądeckiej, pomniki, remontowano, co tylko można było w tak krótkim czasie zrobić. Pod klasztorem klarysek, na ok. stu hektarach przygotowywano miejsca pod sektory. Ludzie którzy mieli tam pola uprawne potraktowali to jako zaszczyt, że po ich ziemi będzie przechodził papież i większość z nich bezinteresownie zrezygnowała z jej uprawy w tym roku. Projekt ołtarza autorstwa Zenona Remiego - zakopiańskiego architekta, choć rodem z Nowego Sącza, został zaakceptowany bez większych poprawek. Zaplanowano szczegóły przyjęcia, pobytu i wyjścia pół miliona pielgrzymów. Ogłoszono apel o zgłaszanie się wolontariuszy do obsługi pielgrzymów, przeprowadzono odpowiednie szkolenia. Zmobilizowano strażę pożarną, policję, służbę zdrowia. Niezależnie od tego w Starym Sączu ciągle pojawiali się przedstawiciele tarnowskiej Kurii, różnych ministerstw, służb specjalnych.

Im bliżej było do tego dnia, wszystkich ogarniały coraz większe emocje, nawet sceptyków. Wszędzie można było słyszeć pytanie: „Idziesz na papieża?”. Niezbyt po polsku to brzmiało, ale jakże serdecznie i troskliwie... I jeszcze: „A jaki masz sektor?” Idziesz na piechotę?”

Ukazały się różne ciekawe publikacje: przewodnik po Starym Sączu i mnóstwo artykułów, bo prasa prześcigała się w informowaniu nas o każdym szczególe, każdym wydarzeniu.

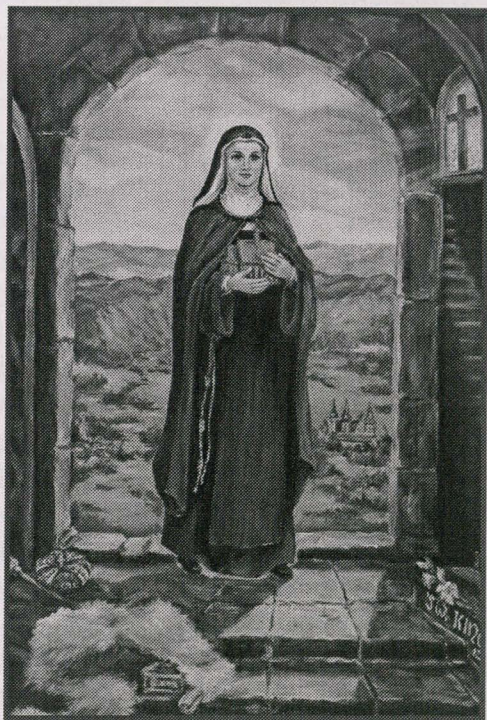
Wreszcie mam bilet i dodatek do biletu. Estetycznie wydana książeczka, a w niej wszystko o celebryście kanoni-



zacji (z dołączonym "oficjalnym", kanonizacyjnym portretem bł. Kingi), pieśniami itd.

Nadszedł 5 czerwca. Papież jest już w Polsce. Śledzimy każdy jego krok, każdą homilię, każdy Jego dzień w kraju. To już szósta pielgrzymka do Polski. Najdłuższa. Będzie trwała 13 dni. Postać papieża pochyliły przeżyte lata i cierpienia, porusza się wolno, z łaską. Ale widać, że czuje się dobrze, u siebie. Odczuwamy to śledząc jego pracę Pielgrzyma. Oby tylko zdrowie dopisało, oby mógł być wszędzie tam, gdzie go oczekują. A szczególnie u nas... Stary Sącz ma być przedostatnim dniem papieskiej pielgrzymki. Czy wytrzyma ten trud?

Nie wytrzymał. 15 czerwca nie przyjechał na krakowskie błonia. Struchlałam. Od ponad 700 lat czekała na ten dzień Ziemia Sądecka, czekali Słowacy, czekali Węgrzy, czekali Litwini. Od 1690 roku czekała na kanonizację bł. Kinga - Pani Ziemi Sądeckiej...



Urodziła się 5 marca 1234 r. jako córka króla węgierskiego Beli IV i cesarzówny bizantyjskiej Marii z Laskarisów. Miała dziewięcioro rodzeństwa. W wieku 5 lat zostaje zaręczona z sandomierskim księciem Bolesławem. Ojciec powierza ją matce księcia Grzysławie i Kinga uroczystie powitana w Wojniczu udała się na dwór sandomierski. W 1241 r. napadli na Polskę Tatarzy. Dwór chroni się najpierw w Krakowie, a potem na Węgrzech. Wreszcie w 1247 r. następują zaślubiny - i obopólna zgoda zachowania małżeństwa niespełnionym przez rok. Po roku oboje małżonkowie ponawiają to przyrzeczenie. Potem znów - aż dochodzi do wieczystych ślubów czystości.

Kinga cały swój posag oddała mężowi na odbudowę kraju po najazdach tatarskich i na utrzymanie wojska.

W dowód wdzięczności Bolesław nadał Kindze przywilejem wystawionym w 1257 r. w Korczynie Ziemię Sądecką (z pewnymi tylko wyjątkami). Po jej śmierci stanie się ona własnością starosądeckich klarysek.

Kinga funduje kościoły: franciszkanów w Nowym Korczynie, parafialny w Bochni, inne uposaża, obdarza przywilejami. W istotny sposób przyczynia się do kanonizacji biskupa Stanisława Szczepanowskiego. Za jej przyczyną rozpoczęto eksploatację złóż soli w Bochni i Wieliczce. Lokuje miasto Sącz (obecnie "Stary") tworząc w nim parafię. Wydaje przywilej przeprowadzający radykalną reformę gospodarczą w podległej sobie ziemi.

Do III Zakonu św. Franciszka wstąpiła jeszcze za życia męża. Po jego śmierci w 1279 r. przeniosła się do Sącza, postanawiając resztę życia spędzić w tym właśnie mieście. Ufundowała tu klasztor klarysek (sprowadzając zakonnic z podkrakowskiej Skały), bogato go uposażając. Zamieszkując w Sączu, interesowała się sprawami całego regionu: zakładała nowe osady, organizowała parafie, budowała i zaopatrywała kościoły. Autorzy jej biografii powtarzają za kronikarzami: "na Sądecczyźnie każdy kwiat, góra, rzeka mówi o szczególnym umiłowaniu tej ziemi przez Kingę oraz Kingi przez miejscową ludność". Pozostały po niej legendy przekazywane z pokolenia na pokolenie, jej cuda, uzdrowienia odnotowywane w pamięci i sercach ludzkich, a obok niezliczone przydrożne kapliczki, obrazy ją przedstawiające. Prostý lud żyjący na tej ziemi od dawna uznał jej świętość.

W 1288 r. Kinga wstąpiła do nowicjatu, a w rok później do zakonu, którego ostra reguła zobowiązywała do ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Kinga pokornie usługiwała wszystkim współsiostrom, a gdy została dotknięta ciężką chorobą i była przykuta do łóżka, przez wiele miesięcy znosiła cierpienia w duchu całkowitego podporządkowania się woli Boga. Umarła 24 lipca 1292 r. Pochowano ją w klasztorze, pod posadzką kaplicy.

Od dnia śmierci czczona była za pobożność i opiekuńczość. W 1629 r. na polecenie papieża Urbana III rozpoczęto badania mające stwierdzić świętość życia Kingi, ale dopiero Jan III Sobieski, opromieniony sławą obrońcy katolickiej Europy, spowodował swym autorytetem decyzję papieża Aleksandra VIII o beatyfikacji Kingi 11 czerwca 1690 r. 20 lat później papież Klemens XI ogłosił Kingę patronką Polski i Litwy. W 1901 r. biskup Leon Wałęga ustanowił bł. Kingę patronką diecezji tarnowskiej.

I przedostatnia ważna data: 3 lipca 1998 r. abp Jose Saraiva Martins i abp Edward Nowak podpisują dekret Kongregacji do Spraw Świętych o wyniesieniu bł. Kingi na ołtarze. Aby czcił i wielbił ją cały świat

Datę kanonizacji wyznaczono na 16 czerwca 1999 roku. Ale - kto jej dokona? Media informują o chorobie papieża. Musi być poważna, skoro nie spotkał się z ukończonym Krakowem. Krótkie ukazanie się w oknie bisku-

piego pałacu niczego jeszcze nie przesądza. Kto więc dokona tego aktu? Sam Ojciec Święty, czy ktoś w jego imieniu? To byłoby niby to samo, ale jednak...

Mimo wszystko, pełni nadziei, o 3 rano wychodzimy z niezorganizowaną pielgrzymką do Starego Sącza. Idąc w falującym tłumie pod wiaduktem na ul. Węgierskiej przypominałam sobie wiersz Ludwiki Żołyńskiej napisany z 1979 roku, po pierwszej papieskiej pielgrzymce do Polski:

"Nie ma nocy - nikt nie śpi

Wszyscy czuwamy - słuchamy..

A tylko kroki pielgrzymów, to bliżej, to dalej

I śpiew ich słychać ze serca szczerego

"Witaj Arko Przymierza Bożego".

I my też tak idziemy. W ciszy, skupieniu, które od czasu do czasu przerywa tylko sygnał karetek lub wlewające się naszą ludzką rzekę potoki kolejnych pielgrzymek. I tak do ostatnich zabudowań przed mostem na Popradzie.

Robi się coraz ciasniej. Idziemy noga za nogą, co chwila przystajemy. Zaczyna padać drobny deszcz. Mija nas kolumna harcerzy, której robimy przejście. Muszą być szybciej, będą pomagać w utrzymywaniu porządku na placu celebry. Widzimy też grupę starszych osób z "lwowskim" transparentem, obok pielgrzymka z Łodzi (przyjechali pociągiem). Wokół nas widać matki z dziećciakami w wózkach, obok dzielnie kroczą cztero i pięciolatki. Mija nas kilka autobusów z dziećmi specjalnej troski, niepełnosprawnymi.

Kiedy docieramy do wejść na sektory okazuje się, że jest w nich już olbrzymia ilość ludzi którzy przybyli tu już wczoraj. Celebrans prowadzi modlitwę, intonuje pieśni. Do swoich miejsc dochodzimy w mazi błota. Ciągłe pada deszcz.

Jednak to nikogo nie denerwuje. Czekamy na jedną tylko wiadomość - czy papież przyleci, czy nie? Około godz. 8 celebrans informuje, że nie papież przyleci ale... przyjedzie. Jego końcowe słowa zagłusza wybuch powszechnego entuzjazmu. Uczymy się skandować wiwaty, pieśni o Kindze. W międzyczasie myślimy - którędy też będzie wiodła papieska trasa? Bo na pewno na tradycyjnej trasie Kraków- Nowy Sącz gromadzą się już tłumy. Dopiero potem okazało się, że pojechał przez Limanową i Podegrodzie.

Wpatrujemy się w ołtarz, jeszcze pusty. Jest pięknie wkomponowany w panoramę klasztoru. Nawiązuje stylem (zwłaszcza wieżyczki) do sądeckiej architektury. Ma stalową konstrukcję obłożoną drewnem. Tron to piękny fotel z drewna i białej skóry, ozdobiony herbem papieskim i polskim, przedzielonymi drewnianą figurką Kingi. Wmontowana w ołtarz bryła soli symbolizuje jej zasługi dla Bochni i Wieliczki. W dół spływa strumień wody symbolizujący Dunajec lub legendarne źródło Kingi. Cały ołtarz tonie w bujnej zieleni, bieli, żółci. Po bokach

zadaszenia z fotelami dla koncelebransów i dostojników kościelnych. Z lewej strony przysłonięty jeszcze obraz kanonizacyjny bł. Kingi namalowany przez Piotra Moskale z ASP w Krakowie. Na ołtarzu znajduje się też obraz Przemienienia Pańskiego z sądeckiej bazyliki św. Małgorzaty, jest replika zabytkowego, XVI- wiecznego krzyża z kościoła klarysek, wykonana przed laty przez Mieczysława Bogaczyka, znanego wszystkim sądeckiego artysty rzeźbiarza. W pewnej odległości od ołtarza, z lewej strony, olbrzymie rusztowanie-platforma dla 15 połączonych chórów (razem 750 osób!), a pod nim - dla 5 orkiestr w których grało 200 muzyków. Po prawej - tzw. "zwyżka" dla 400 dziennikarzy. Oprócz nich dwóch telewizyjnych kamerzystów opracuje na wysokich wysięgnikach, wyglądających jak żyrafy zniżające lub pochylające swe długie szyje. W pobliżu ołtarza kamienna kolumna z figurą Chrystusa Frasobliwego - dzieło zakopiańskiego artysty Michała Gąsienicy-Szostaka. To ona pozostanie w tym miejscu, przypominając o dzisiejszym wydarzeniu.

Oczekując na przyjazd Jana Pawła II uczymy się inwokacji:

"Kingo Sądecka Pani,

Strojna w świętości blask,

Hołdem składanym w dani,

Boga wielbimy wraz".

To refren, a zwrotki śpiewa jakiś męski głos. W międzyczasie celebrans ogłasza przybycie poszczególnych osobistości świeckich i kościelnych, także z innych krajów. Wszystkich witamy brawami. Przybywa prezydent Węgier Arpad Goncz (ciekawe, bo Kinga pochodziła z rodu Arpadów) z małżonką córką... Kingą! Są też Laszlo i Imre Both - bracia, przedstawiciele górali szeklerskich z makietą bramy która stoi już przy murze klasztornym. Przybył również prymas Węgier Laszlo Paskai, premier Słowacji Mikulasz Dzurinda. Polskę reprezentował premier Jerzy Buzek, marszałkowie Alicja Grześkowiak i Maciej Płażyński, były premier Tadeusz Mazowiecki, prezes NBP Hanna Gronkiewicz-Waltz, czołówka parlamentarna z naszego regionu, przedstawiciele władz Starego i Nowego Sącza. Z kościelnych osobistości wymienimy nuncjusza apostolskiego z Mozambiku Juliusza Janusza, Marcina Jaworskiego ze Lwowa, Frantiska Tondrę ze Słowacji.

Widać licznych Ukraińców, Litwinów, Kosowian, Czechów, Słowaków. Trudno ogarnąć wszystkich, nawet przy największych chęciach.

Grzmotem braw powitaliśmy siostry klaryski z s. Teresą Izworską na czele, które po raz pierwszy od 1280 roku (za specjalnym zezwoleniem) wyszły poza klasztorne mury, by uczestniczyć w tej tak dla nich ważnej uroczystości. Wcześniej ich poprzedniczki robiły to tylko dwa razy i zawsze pod przymusem: uciekając przed Tatarami w i wyniku józefińskiej kasaty klasztorów.

Nagle ten ponad 600-tysięczny tłum zafalował, rozśpiewał się, wręcz rozkrzyczał. I już było wiadomo, że Piotr naszych czasów - Jan Paweł II jest wśród nas.

Na powitanie słyszy granego i śpiewanego, specjalnie na ten dzień ułożonego sądeckiego krakowiaka. Po pewnym czasie pojawia się przy ołtarzu, już przebrany we wspaniałe szaty, gotowy do odprawienia kanonizacyjnej Mszy św. Obok papieża jego "cienie": bp. Stanisław Dziwisz i bp. Pierro Marini - główny mistrz ceremonii papieskich. To on powiedział w jednym z wywiadów: "Wierni w Polsce wiedzą, że Jan Paweł II przybywa do swego rodzinnego kraju, do swego domu i ta więc obustronna jest widoczna podczas całej celebracji".

I nagle w tej emocji przeżywania rozlega się spokojny głos papieża: "W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego". Odpowiadamy: "Amen". Ojca Św. wita ordynariusz diecezji tarnowskiej ks. bp Wiktor Skworec. Jak to pięknie powiedział: "Ojciec Święty, polecaj nas Bogu przez wstawiennictwo Matki Kingi, abyśmy stali się solą ziemi, byli jak 'drzewo zasadzone nad głęboką wodą i przynosili plon stokrotny'".

Zaczyna się Msza święta. Prośbę o kanonizację wnoszą abp Jose Saraiva Martins i abp Edward Nowak, który przedstawia w skrócie opis życia bł. Kingi. Ojciec Św. wzywa do modlitwy. Klękamy i odmawiamy litanie do Wszystkich Świętych. Po litanii Jan Paweł II wygłasza formułę kanonizacyjną. Siostry klaryski wnoszą trumienkę z relikwiami świętej, składając ją na ołtarzu. Wszyscy śpiewamy inwokację, po czym biskupi postulatorzy podchodzą do papieża mówiąc: "Ojciec Święty! W imieniu Kościoła Świętego składam gorące podziękowanie za dokonaną przez Waszą Świątobliwość kanonizację i pokornie proszę, aby Wasza Świątobliwość raczył polecić wydanie Dokumentu Apostolskiego o dokonanej kanonizacji". Jan Paweł II zamyka cały ten akt kanonizacyjny słowami: "Tak zarządzamy".



Więc stało się. Moje wzruszenie miesza się jeszcze z niedowierzaniem. Patrzę, jak z obrazu spływa biała szata. Ukazuje się postać św. Kingi.

Msza św. trwa dalej. Dostojnie, z piękną oprawą muzyczną. A potem homilia. Ojciec Św. jest osłabiony, więc jej tekst odczytuje kardynał Franciszek Macharski. To nam nie przeszkadza, bo treść na pewno dyktowało serce papieża. Nie zapomniał w niej o niczym i o nikim. Ani o gościach, ani o przedstawicielach rządów, miejscowych władz, ani o tych, którzy to wszystko przygotowali, ani o młodzieży, ani o pięknie Ziemi Sądeckiej. Zauważył nawet pielgrzymów z Kosowa i poruszył ich bolesny dramat. No i o nas! A jego słynne zawołanie: "Bracia i siostry, nie lękajcie się chcieć świętości! Uczynicie kończący się wiek i nowe tysiąclecie erą ludzi świętych... Święci pragną świętości... Święci nie przemijają".

Po homilii następuje procesja z darami. Trudno zobaczyć szczegóły, trzeba wierzyć głosowi opisującemu ją przez głośniki. Siostry klaryski wręczają Ojcu Świętemu pomniejszoną kopię obrazu kanonizowanej przed chwilą św. Kingi. Przedstawiciele władz - naczynia liturgiczne. Mignęła mi postać prezydenta Andrzeja Czerwińskiego z małżonką. Jego (i sądeczan) darem była deklaracja wsparcia finansowego przeznaczonego na budowę ośrodka charytatywnego im. Jana Pawła II. Papież poświęca widniejące nieopodal sztandary miejscowości Ziemi Sądeckiej, ok. 20 kamieni węgielnych pod budowę nowych kościołów. Nie wszystko dokładnie widać. Czasem jakaś grupa chce serdeczniej przywitać papieża i rozwija olbrzymi transparent, który zasłania telebim, czyli duży ekran z telewizyjnym obrazem.

Ilekoć obserwowałam spotkania papieża z wiernymi, zawsze nurtowała mnie myśl: co jest w tym człowieku, obecnie cierpiącym, schorowanym, z trudem chodzącym? Co ma w sobie, jaki fenomen pozwala mu tak zjednywać sobie ludzi? Drżą mu ręce, ale umysł ciągle ma sprawny, uśmiech i serce dobrego ojca. Umie słuchać i umie przemawiać do różnych ludzi różnych państw całego świata. Kto w innych okolicznościach stałby w tym błocie, zmęczony drogą, przemoczony? A my stoimy i cieszymy się, że przeszliśmy po tej samej ziemi, którą on przyjechał, że jeszcze chwile będziemy w jego pobliżu, w jego cieniu...

Słuchać szeptu: "Kiedy on wypocznie"? Przecież tu, w Starym Sączu wszystko zaczęło się z wielkim opóźnieniem, a już czekają jego rodzinne Wadowice. Miał po tej mszy św. odpocząć, zjeść coś u sióstr klarysek i dopiero ok. godz. 16 pożegnać się z nami i odlecieć. Przecież jest osłabiony, choć zauważamy, że w tej scenerii otaczających nas gór jakby poczuł się raźniej.

Zbliża się koniec kanonizacyjnej mszy. I nagle papież, jak dawniej, podczas pierwszych pielgrzymek, swoim żartobliwym tonem i ze wspaniałym uśmiechem daje nam "lekcje geografii". On po prostu zawsze "czuł" góry, a one dawały mu siłę.

Widać to było nazajutrz, podczas pożegnania na Bałicach. To nieważne, że pomyliły mu się nazwy górskich szczytów. Ważne, że po ponad 20-letniej ciężkiej pracy z dala od ukochanych ścieżek górskich pamięta, jak i dokąd nimi wędrował. To wzruszające. Zajmuje się Kościołem na

całym świecie, a pamięta nasz teren, nasze góry. A znam ludzi, którzy po kilkuletnich studiach wracają do Sącza i nie pamiętają nazw ulic - a on zapamiętał szlaki, po których chodził przed dwudziestu kilku laty! Podbił tym wspomnieniem wszystkie gromadzone tam serca, a słyszała i widziała to cała Polska. Każdy z nas wracał do domu silniejszy, a potem, gdy oglądaliśmy tę scenę w telewizyjnej powtórce, przeżyliśmy to wzruszenie jeszcze raz.

Dziękujemy ci, Ojciec Święty, że przybyłeś do nas i że zostawiłeś nam św. Kingę - patronkę naszej Ziemi. Dziękujemy za tych kilka razem spędzonych chwil. Pamięć o nich pozostanie w naszych sercach do końca naszych dni.

Anna Totoń

„Beskid” 2(37) 1999

Krakowiok sądecki

Furorę zrobił „Krakowiok Sądecki” odśpiewany Ojcu Świętemu podczas jego pobytu w Starym Sączu. Gdy Do stojny gość wjeżdżał na plac celebry, kilkuset wykonawców z kilkudziesięciu sądeckich grup folklorystycznych przywitało go: „Hej, szczęściem bijom serca Lachów i Górali, ze Łojca Świętego my sie docekali” „Poza planem” zaśpiewano papieżowi, gdy zakończył swoją powtórkę z geografii: Hej, spożry Łojciec Święty na Przehyby uboc, niech w łocak łostanie tyn widok na długo. Hej, góry i doliny kwieciem łozdobione, moze Polski Papież spomni nase strony”. „Kra-

kowioka” Ojciec Święty usłyszał też na pożegnanie, gdy udawał się do klasztoru klarysek.

Autorką słów jest Wanda Łomnicka-Dulak, znana poetka z Piwnicznej. „Krakowiok” stał się prawdziwym przebojem i często nadawany jest przez stacje radiowe. Prezentowała go również włoska stacja telewizyjna Rai Uno. Wpłynęło już kilka propozycji profesjonalnego nagrania tego utworu i powinien się on wkrótce ukazać na kasetach i płytach. Poniżej przedstawiamy tekst tej wspaniałej i wzruszającej piosenki.

Na powitanie

*Hej z wiyrchu Radziejowe
Wiater podmuchuje /bis
Dziś ziemia sądecko
Gościa wycekuje. /bis*

*Hej, szczęściem bijom serca
Lachów i Górali
Ze Łojca Świętego
My się docekali.*

*Hej cekali my długo
Na gościa wielkiego
Dzisiok Mu zagramy
Krakowiocka tego.*

*Hej z serca najscyrsego
Łobygrać się godzi
Grajom góry, lasy
I starzy i młodzi.*

*Hej, spożry Łojciec Święty
Na Przehyby uboc
Niech w łocak łostanie
Tyn widok na długo.*

*Hej, góry i doliny
Kwieciem łozdobione
Może Polski Papież
Spomni nase strony.*

*Hej, na sondecki ziymi
Scyre sto łot płynie
Zyj nom Janie Pawle
W ty Rzymski Dziedzynie.*

Na pożegnanie

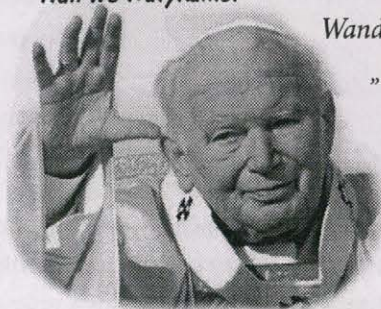
*Scęśliwa godzina
Zes dziś Łojce z nami
Sto łot, sto łot płynie
Echem nad górami.*

*W sercach nom łostanę
W Popradowy nucie
Twoje słowa - znaki
W trzecie tysiąclecie.*

*Bystro czas przepływa
Trza się będzie zbirać
Pozwól przed łodejściem
Serdecnie zaśpiywać.*

*Dzisiok dzień barz znaczny
Na najdluzse ręki
Modlemy się niech Bóg
Chroni Twoje kroki.*

*Niech bez długie lata
Przy Tobie łostanie
Ta sądecka śpiywka
Hań we Watykanie.*



Wanda Łomnicka-Dulak

„Beskid” 2(37) 1999

I już po Olimpiadzie

Właściwie można by zakończyć na samym tytule. Tym bardziej, że stało się to, co się stać musiało i co było oczywiste dla wszystkich, poza członkami komitetu organizacyjnego. Z osłupieniem patrzyliśmy na euforię jaka zapanowała wśród 112-osobowej zakopiańskiej delegacji w Seulu oraz w studiu telewizyjnym, gdy ogłoszono, że organizatorem zimowych igrzysk olimpijskich w 2006 r. będzie Turyn. „Zwyciężyliśmy!” wołał burmistrz Bachleda-Curus. Ktoś tu wyraźnie zwariował, i jestem pewien, że to nie my. Dalsze wypowiedzi nie bardzo jednak pasowały do hasła „zwyciężyliśmy”. Mówiono np. że „Samaranch za długo sprawuje stanowisko”, lub „to była sprawa ustawiona”. Nikomu nie wpadło do głowy żeby pomyśleć i powiedzieć, że po prostu wygrał najlepszy, ten który ma, a nie ten który obiecuje, że może kiedyś będzie miał. Jeden z członków MKOI powiedział zresztą przed głosowaniem: „Polska i Słowacja muszą zrozumieć, że aby mieć szansę na otrzymanie organizacji igrzysk, to trzeba wcześniej wiele inwestować. A nie obiecywać, że jeżeli się igrzyska otrzyma, to dopiero wtedy będzie się wszystko robić”.

Wyjątkowa arogancja, która od początku cechowała przedstawicieli komitetu organizacyjnego, trwała do samego końca. W filmie promującym Zakopane jako kandydata i pokazanym w Seulu członkom MKOI w przeddzień głosowania, posłużono się m.in. postaciami Wisławy Szymborskiej, Czesława Miłosza czy Stanisława Lema, którzy byli kilka miesięcy temu współsygnatariuszami listu protestującego przeciwko olimpiadzie w Tatrach! Posunięto się nawet do posłużenia się Ojcem Świętym!

Jan Paweł II nigdy nie wypowiedział się w tej sprawie, a 6 dni wcześniej, podczas pielgrzymki po Polsce mówił: „Piękno tej ziemi skłania mnie do wołania o jej zachowanie dla przyszłych pokoleń. Jeśli kochacie tę ojczystą ziemię, niech to wołanie nie pozostanie bez odpowiedzi! Zwracam się w szczególny sposób do tych, którym powierzona została odpowiedzialność za ten kraj i za jego rozwój, aby nie zapominali o obowiązku chronienia go przed ekologicznym zniszczeniem. Istnieje niebezpieczeństwo, że to, co tak cieszy oczy i raduje ducha, może ulec zniszczeniu”. Dalej apelował do rządzących: „Niech tworzą przepisy ochrony środowiska i czuwają nad ich skutecznym wprowadzeniem w życie! Niech kształtują nade wszystko postawy poszanowania dobra wspólnego, praw natury i życia. Jeśli kochacie tę ojczystą ziemię, niech to wołanie nie pozostanie bez odpowiedzi”.

Osobiście mamy wątpliwości, czy te głęboko mądre słowa trafią do ludzi pokroju Aleksandra Kwaśniewskiego, który dla celów politycznych obiecywał góralom olimpiadę, czy Adama Bachledy-Curusia, któremu wszystko przysłaniają pieniądze.

No i oczywiście komitet organizacyjny zapowiedział, że podejmie starania o przyznanie Zakopanemu igrzysk olimpijskich w 2010 roku. Informuję więc tych panów już

dziś, że igrzysk tych nie dostaną. Po raz kolejny przypominam, że na organizację imprez sportowych na terenie parku narodowego nie pozwala polskie i międzynarodowe prawo. Ponadto w międzynarodowym ruchu olimpijskim stosowana jest zasada, że żaden kontynent nie może organizować tej imprezy dwukrotnie pod rząd. I gdyby ci panowie mieli jakieś wątpliwości w tym względzie, to przypominam, że Turyn organizujący w 2006 r. olimpiadę leży w Europie. Uważamy, że Zakopane też. Czyżby burmistrz Bachleda miał inne zdanie? Pozostaje więc sprawą podatników, na których koszt ci panowie się bawią, czy kolejnych kilka milionów złotych znowu zostanie wyrzuconych w błoto, na z góry przegraną sprawę.

A tak przy okazji. To nieprawda, że wysunięcie niepoważnej kandydatury jakim jest Zakopane, było jego promocją. Jest to ośmieszanie zarówno tego miasta, jak i naszego kraju. Tak mogą twierdzić tylko ludzie w rodzaju burmistrza Bachledy wołającego „zwyciężyliśmy” wobec ewidentnej przegranej, czy wiceburmistrza Bąka twierdzącego w telewizji na kilka minut przed ogłoszeniem wyników. Że „nasza delegacja pojechała do Seulu by wygrać”.

Maciej Zaremba

„Beskid” 2(37) 1999

Wandale na szlaku

W 700 - lecie śmierci bł. Kingi które obchodzono w lipcu 1992 r, nasz Oddział w porozumieniu ze starosądeckim klasztorem oznakował szlak biegnący ze Starego Sącza przez Przehybę do Krościenka, kilkunastoma ozdobnymi „rogalami”, z umieszczonymi na nich artystycznie wyrzeźbionymi tablicami, których autorem był Bogusław Repelewicz.

Po kilku miesiącach, pozostały tylko tablice na początku i na końcu szlaku. Pozostałe zostały zniszczone (nie zdjęte - gdyż odpowiednie zamocowanie uniemożliwiało ich zdemontowanie bez zniszczenia) przez przeciwników naszego Towarzystwa. Niechęć do nas okazała się aż taka, że dopuszczono się zbyszczeszczona wizerunków wówczas błogosławionej, a obecnie już Świętej Kingi.

„Beskid” 3(38) 1999



Sklep potrzeb kulturalnych

8 grudnia z inicjatywy Koła Przewodników PTT odbyło się otwarte spotkanie z Antonim Krohem, którego ostatnia książka „Sklep potrzeb kulturalnych” właśnie ukazała się na półkach księgarskich. Mieszkający od trzydziestu lat w naszym mieście autor jest z zawodu etnografem, ale także znakomitym literatem, tłumaczem z języka czeskiego i słowackiego, znanym „szwejkologiem”, a także przewodnikiem tatrzańskim. Jego najnow-sza książka, choć utrzymana w konwencji wspomnieniowej, jest także kopalnią wiadomości o góralszczyźnie widzianej oczami dziecka wycho-wywanego w Bukowinie Tatrzańskiej - a później pracownika Muzeum Tatrzań-skiego. Przesuwają się więc przed oczami czytelnika obrazy Podhala i jego mieszkańców na pół mityczne, na pół prawdziwe, ale zawsze napisane w urokliwy sposób i - co warto podkreślenia - znakomitą polszczyzną.

Przedrukujemy poniżej fragment jednego z rozdziałów, prostującego jedną z zakopiańskich legend, znaną chyba nam wszystkim z licznych dziennikarskich, literackich i filmowych wersji.

Legenda i prawda.

Jak Józek Niemcom uciekał*

Gdy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych turyści wjeżdżali kolejką na Kasprowy, prawie zawsze znalazł się ktoś, kto pokazując żleb w północnym stoku, nieco poniżej górnej stacji, opowiadał, że w tamtym właśnie miejscu podczas wojny zakopiański kurier wyskoczył na nartach z jadącego wagonika, bo zobaczył gestapowców czekających na peronie. Niemcy strzelali, puścili psy, kule chybiły, psy poginęły w lawinie, kurier uszedł i żyje po dziś dzień, ma imię i nazwisko, jest znanym ratownikiem.

Historia ta, chociaż przebrana w kostium akowsko-kurierski ma wszelkie cechy ludowo-młodopolskiej legendy zbójnickiej. Odwołuje się do rzeczy powszechnie znanych i lubianych; może dlatego zdobyła sobie tak wielką popularność. Ma charakterystyczną stylistykę i dramaturgię: występuje w niej zwycięski heros, oprawcy, skały, rzecz dzieje się w miejscu doskonale widocznym i ogromnie malowniczym, do tego wyjątkowo śtrybnym, czyli niebezpiecznie stromym, aż ludziom gęby same otwierają się z podziwu. Rozgałęziło się wiele ustnych wersji, opowydanych przez przewodników i pracowników kolejki. Ma sporą literaturę: wywiady z bohaterem, relacje naocznych świadków, beletrystyka, czytanka szkolna, nawet fragment filmu.

Znałem ją wcześniej, jak każdy Polak interesujący się górami, ale bezpośrednią znajomość z nią zawarłem w parę miesięcy po przyjeździe do Muzeum Tatrzańskiego. Byłem

nowy. Jak wiadomo, z nowego należy przynajmniej raz zrobić durnia, taki panuje obyczaj, na przykład nowego ucznia posyła się do pokoju nauczycielskiego po cosinus, a potem śmiechu co niemiara. Ktoś wskazał mi mężczyznę w goprowskiej kurtce, że to właśnie on wyskoczył z kolejki, więc żebym jako historyk wypytał go o szczegóły i opracował to naukowo. Niewiele myśląc, podbiegłem do człowieka, przedstawiłem się i poprosiłem o spotkanie, bo chciałbym ustalić pewne fakty, związane z jego słynnym wyczynem. Spojrzał na mnie uważnie, pomyślał chwilę, sapnął, sprężył się wewnętrznie, a następnie zapytał, czy chcę w mordę. - Dziękuję, nie - odpowiedziałem uprzejmie. Na tym zakończyła się rozmowa, pozostawiając zrozumiałe uczucie niedosytu.

Więc następnego dnia poprosiłem Różę Drojecką, wspaniałą gadułę, wiele jej zawdzięczam, aby zechciała mi wyjaśnić, czemuż to mój rozmówca tak się rozeźlił. I usłyszałem, co następuje.

Józek był bardzo przystojnym chłopcem i świetnym narciarzem. Gdyby nie wojna, na pewno zostałby olimpijczykiem. Baby na niego leciały, jeszcze jak. Na Kasprowym Wierchu był posterunek niemieckiej straży granicznej, dowodził nim jakiś pocziwy Tyrolczyk, który miał córkę. No i zgadnij, drogi Antosiu, co było dalej. No, właśnie. Stary wymykał, że jego córka kręci z Józkiem, dowiedział się co za jeden, dopadł go na Krupówkach i odbył z nim zasadniczą rozmowę. Chciał rzecz załatwić jasno i uczciwie. Powiedział, że osobiście nic do niego nie ma, nie ma też nic przeciwko Polakom, ale jest wojna; jeśli gestapo się dowie, to dziewczyna skończy w Oświęcimiu za mieszanie ras. Józka rozwała, a on sam pojedzie na front wschodni, skąd jak wiadomo się nie wraca. Więc jeśli kochasz dziewczynę, to jej nie narażaj. Skończy się wojna, to róbcie sobie co chcecie, ale teraz poczekajcie. Nie ty jeden ją kochasz.

Było to bardzo rozsądne postawienie sprawy, ale gadając tu z młodym o rozsądku, a jeszcze w tych kwestiach. Zresztą gdyby młodzi postępowali rozsądnie, to ludzkość dawno by wymarła, powiedzmy sobie otwarcie. No i drogi Antosiu, trzy razy księżyc odmienił się złoty, a tato już wiedział, że jego argumenty nie na wiele się zdały. Więc zasadził się na chłopaka. Udał że wyjeżdża, córka zawiadomiła Józka, że, jak wy to dzisiaj elegancko mówicie, dziupla wolna, próchno się wysypało. Józek wsiadł do ostatniej kolejki. Tymczasem tato zaczął się z trzema kamratami, żeby mu spuścić manto. Józek wjechał na górę, zobaczył, kto na niego czeka na peronie, więc otworzył okno wagonika, trzymając się zewnętrznej barierki wysiadł na drugą stronę, a zanim trzech panowie obiegli budynek, przypiął narty i poszusował im przed nosem na Halę Gąsienicową do Brońci Bustryckiej. Gdyby go chcieli zastrzelić, zrobiliby to bez trudności, mieli go jak na patelni, ale nie myśleli mu robić krzywdy,

tylko przepłoszyć. Oczywiście, nie byli to żadni gestapowcy, tylko grenzschatze, Tyrolczycy, zwyczajni ludzie.

Po wojnie Józek był świetnym ratownikiem i narciarzem, jako pierwszy w Tatrach Polskich zjechał w szelkach Grammingera, jako pierwszy wychował psa lawinowego, nikt mu tego nie neguje, ale kurierem nie był.

No, ale kiedyś przyjechała do Zakopanego delegacja ratowników francuskich, zdaje się z Chamonix. Józek się nimi opiekował, wjeżdżali na Kasprowy, pewnie wcześniej trochę wypili. Francuzi jak to Francuzi, zadzierali nosa, że we Francji wszystko najlepsze, więc Józka zeżłiło. Chciał im zaimponować, opowiedział więc o tym skoku do żlebu, w końcu, Antosiu, przewodnicy są głównie do tego żeby opowiadać bajki, to należy do ich rzemiosła, im który lepiej bajdurzy, tym jest lepszym przewodnikiem, panowie to uwielbiają. W takich chwilach nie chodzi przecież o prawdę historyczną. Jesteś etnografem, zbierasz ludowe podania, ale chyba nie wierzysz w dziwożony i południce. Parandowski też chyba nie wierzy w Zeusa i Atenę, zresztą kto go tam wie, pomyślców nie brak na tym świecie. Józek pięknie opowiedział o swoim wyczynie, on to potrafi. Któryś z kolegów stał z boku, potwierdził i jeszcze dodał coś od siebie z najpoważniejszą miną. Francuzów zatkało, kazali sobie powtórzyć, napstrykali zdjęć, a potem w jakiejś francuskiej gazecie ukazał się wielki artykuł o Józku i jego bohaterskim wyczynie, związek byłych Maquis dał mu jakąś odznakę honorową. Jak się nasi podskakiewicz dowiedzieli, że mają w Zakopanem takiego bohatera, zaczęli na wyprzódki o nim wypisywać coraz to nowe dyrdymały. To było jak lawina, niepodobna było się wycofać, bo trzeba by odesłać Francu-

zom order, a to już byłaby gruba kompromitacja. Jak miał order francuski, zresztą to wcale nie był order, ale kto się w tym połapie, więc jak miał order francuski, to mu zaraz dali polski, a jak dali jeden, to zaraz potem dali drugi (ja dawno mówiłam, że orderzy powinno się dawać tylko tym co już je mają, bo przynajmniej wiadomo, że zasłużyli. A ludzi nieodznaczonych nie powinno się odznaczać pod żadnym pozorem, bo z tego potem jedno wielkie zawracanie głowy. Po jakimś czasie ci odznaczeni poumierają i nastanie święty spokój). Teraz Józek jest bohaterem narodowym, nie ma innego wyjścia, udziela wywiadów, ale jak go zaczepi o ten skok zakopiańczyk, to się denerwuje. Chciał ci dać w mordę, bo cię wziął za miejscowego, powinienes się cieszyć. Myślał, że znasz całą prawdę i z niego drwisz.

Tyle Różyczka. Notuję jej opowieść, bo Różyczka jest już po Tamtej Stronie.

Historia skoku z kolejki natchnęła w latach sześćdziesiątych panów filmowców. Oczywiście nie znaleźli chętnego, który skoczyłby do żlebu, bo to pewna śmierć. Więc wymyślili, że w ich wersji kurier wyskoczy tuż nad Kuźnicami i zsunie się po gałęziach smreka na ziemię. Ówczesny najśłynniejszy kaskader, magister Krzysztof Fus, podjął się roboty. Za pierwszym razem wszystko poszło prawie dobrze, ale z jakiegoś powodu trzeba było nakręcić dublę, Fus skoczył drugi raz, minął się ze świerkiem i wylądował w szpitalu. Od tego czasu pasażerowie kolejki pokazują sobie dwa miejsca. Jedno, gdzie skakał kaskader i drugie, gdzie kurier.

„Beskid” 1(39) 2000

* tytuł od redakcji „Beskidu”

Przytuł się do drzewa

Drzewa emanują zdrową energią i działają równie skutecznie, jak bioenergoterapeuci. Są to dość powszechne twierdzenia zwolenników tzw. naturalnej medycyny. Pole energetyczne zdrowych drzew, w nieskażonym środowisku ma potencjał ujemny. Działa ono korzystnie na ludzi chorych i zestresowanych.

Energia drzew jest silna, może przyczynić się do poprawy stanu zdrowia. Zwolennicy „drzewoterapii” dodają jednak, że sam spacer po lesie nie wystarczy. Trzeba się nauczyć korzystać z jego dobrodziejstw. Wybrać odpowiednie gatunki drzew, dotykać je odkrytymi częściami ciała - najlepiej czołem, dłońmi, bosymi stopami i plecami. Codzienne kontakty z drzewem dają odpowiednie rezultaty. Taka swoista kuracja powinna trwać co najmniej dwa tygodnie, a każdorazowy styk z drzewem - 20-30 minut.

Nie wszystkie gatunki drzew zalicza się do tzw. zdrowych. Źle działają na człowieka topola, wiąz i osika. Do dobrych drzew zalicza się m.in. dąb, brzozę, kasztan i lipę.

Najsilniejsze pole energetyczne tworzy buk. Emituje on energię nawet na odległość 10 m. Przechadzki po bukowym lesie poprawiają krążenie i niwelują stresy. Lipa wprowadza równowagę wewnętrzną, uaktywnia siły umysłu. Brzoza neutralizuje szkodliwe promieniowanie. Wskazane jest trzymanie żywych gałązek brzozy w pokoju, gdzie znajduje się telewizor. Kasztan przynosi dobre samopoczucie, oddala niepokoje, sosna oczyszcza górne drogi oddechowe, przywraca równowagę wewnętrzną. Wierzba likwiduje depresje. Dąb poprawia krążenie krwi, przywraca energię życiową, polecany bywa zwłaszcza rekonwalescentom, bo wzmacnia wyraźnie organizm. Jodłą pomaga w nabraniu pozytywnego stosunku do otoczenia i życia.

A zatem - przebywając wśród drzew - nie wstydźmy się do nich przytulić.

Bernard Konarski

(przedruk z „Poznaj Swój Kraj” nr 10 z 1999 r.)

„Beskid” 2(40) 2000

Krzyż na Miejskiej Górze w Limanowej

W dniu 13 lutego, po odbyciu wycieczki w Paśmie Łososińskim, przeszliśmy na Miejską Górę by obejrzeć wybudowany tam w ubiegłym roku krzyż, stanowiący pamiątkę 2000 lat chrześcijaństwa. Ten piękny, o harmonijnej sylwetce obiekt zaprojektowany został przez arch. Leszka Pilawskiego. Poniżej przedstawiamy kilka interesujących danych, otrzymanych od inicjatora budowy krzyża Andrzeja Pilawskiego.

Wysokość Miejskiej Góry	716,0 m npm
Wysokość krzyża nad rynkiem w Limanowej	311,0 m
Odległość krzyża od rynku w linii prostej	2,0 km
Odległość krzyża od krzyża na Giewoncie w linii prostej	64,0 km
Wysokość tarasu nad terenem	4,5 m
Wysokość podstawy żelbetowej	9,0 m
Wysokość krzyża stalowego	28,0 m
Wysokość całego krzyża od ziemi do szczytu	37,0 m
Głębokość fundamentów	3,0 m
Rozpiętość ramion krzyża	13,0 m
Ciężar części żelbetowej	304,0 t
Ciężar części stalowej	17,0 t
Ciężar całego krzyża	321,0 t

„Beskid” 2(40) 2000



XVII Ogólnopolska Pielgrzymka Przewodników Turystycznych

Jasna Góra 9-11 marca 2001 r.

„Bracia i Siostry nie lękajcie się być świętymi w III Tysiącleciu”- pod takim hasłem przewodnicy Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z Koła w Nowym Sączu udali się w tym roku na Jasną Górę na XVII Ogólnopolską Pielgrzymkę Przewodników Turystycznych, której byli organizatorami.

Przewodnicy już od siedemnastu lat spotykają się u stóp Czarnej Madonny aby uczestniczyć w rekolekcjach, mszach św., wysłuchać wykładów programowych, odbyć drogę krzyżową na murach klasztoru i odnowić Jasnogórskie Ślubowanie Przewodników.

A wszystko zaczęło się w roku 1998 kiedy to kol. Wiesław Piprek zgłosił Polskie Towarzystwo Tatrzańskie jako organizatora XVII Ogólnopolskiej Pielgrzymki. Przygotowania do niej rozpoczęliśmy już podczas uczestnictwa w XVI Pielgrzymce w marcu 2000 r. Podpatry-

waliśmy naszych kolegów z Koła Przewodników PTTK w Krynicy, robiliśmy notatki, nawiązywaliśmy kontakty. We wrześniu 2000r spotkaliśmy się w Krynicy z Prezesem Oddziału Stanisławem Winterem, aby uzyskać rady, opinie, przemyślenia organizatorów pielgrzymki z perspektywy czasu. Rady przekazane nam przez Stanisława były, jak się później okazało, niezmiernie cenne. Związał się zespół roboczy do spraw organizacji pielgrzymki, opracowaliśmy plan działania w poszczególnych miesiącach i zabraliśmy się do pracy.

Pierwszym bardzo ważnym krokiem było opracowanie programu pielgrzymki.

Zawierał on tematy rekolekcji, tematy wykładów na część spotkaniową, był kilkakrotnie w Krynicy konsultowany z ks. Józefem Drabikiem a następnie projekt wysłany do Olsztyna i na Jasną Górę w celu zatwierdzenia.

nia przez J.E. Abp. dra Edmunda Piszcz - duchowego opiekuna wszystkich przewodników.

Program został zatwierdzony bez uwag - to był dobry znak.

Pozostało „tylko”: zaprojektować i wykonać pieczęć okolicznościową, wydrukować i wysłać zaproszenia dla gości oficjalnych i kół przewodnickich, zaprojektować i wydrukować Cegielkę - Wotum dar wszystkich przewodników (rzeźbę św. Jakuba - Większego), opracować pamiątkowy obrazek, znaczek - odznakę pielgrzymkową dla kolekcjonerów, przygotować dar ołtarza, opracować i wydać okolicznościowe wydanie „BESKIDU”, zaprojektować i wykonać sztandar Koła, pozyskać do sprzedaży wydawnictwa turystyczne, albumowe, plakaty i widówki związane z regionem, zarezerwować salę na Jasnej Górze oraz to co było najtrudniejsze, znaleźć i pozyskać sponsorów dla naszego przedsięwzięcia.

Zaczęliśmy od siebie. Pomimo, że Koło Przewodników PTT jest utrzymywane tylko ze składek członkowskich przewodnicy dodatkowo dobrowolnie „opodatkowali” się na rzecz pielgrzymki.

Zwracaliśmy się do instytucji i zakładów na terenie miasta z prośbą o pomoc finansową w organizacji pielgrzymki. Nie zawsze z pozytywnym skutkiem. Im bliżej było do daty rozpoczęcia pielgrzymki tym więcej pojawiało się problemów organizacyjnych, spraw do załatwienia, które musiały być rozwiązane i wątpliwości czy damy radę w tak małej grupie przewodników przeprowadzić tą pielgrzymkę, czy zdążymy na czas. Był to bardzo nerwowy okres dla nas i naszych rodzin.

Do Częstochowy wyjechaliśmy w czwartek po południu w grupie inicjatywnej (trzy samochody osobowe załadowane ponad normę i bus towarowy załadowany po dach) aby zacząć „działać” już w piątek rano. I tu na miejscu niezastąpiona okazała się Barbara Okońska koordynator pielgrzymki z koła przewodników PTTK w Częstochowie. Barbara była naszym dobrym duchem od samego początku organizacji pielgrzymki, poruszając się po Jasnej Górze otwierała dla nas „wszystkie drzwi”, wspierała duchowo w chwilach zwątpienia.

Pielgrzymka składała się z trzech części.

Część pierwszą - rekolekcje, które odbywały się w Kaplicy Domu Pielgrzyma, przygotował i prowadził ks. Adam Wąsik, Moderator Ruchu Światło - Życie Archidiecezji Przemyskiej z Parafii Chrystusa Króla w Jarosławiu. Wygłosił nauki „Między Mocą a Słabością”, „W Drodze ku Słońcu”, „Radość Życia”. Ks. Adam swoim słowem wywołał w pielgrzymach wrażenie zadumy, zamyślenia, radości a u niektórych łzy wzruszenia. Z księdzem przyjechała młodzież, która „służyła” pielgrzymce przez cały czas jej trwania oprawą muzyczną. Wypadła wspaniale, była wesoła, uśmiechnięta, spontaniczna a jednocześnie skupiona i za wspaniałą śpiew potrafiła zaskarbić sobie

wdzięczność wszystkich uczestników pielgrzymki.

Część druga - spotkania odbywały się w sali św. Józefa. Rozpoczęliśmy od wprowadzenia pocztów sztandarowych kół przewodnickich i odśpiewania Hymnu Przewodników. Słowo wstępne wygłosił J.E. Abp. dr Edmund Piszcz. Jego Ekscelencja mówił o roli przewodnika we współczesnym świecie i jego odpowiedzialności za przekazywanie wiedzy. Następnie ks. Stanisław Pietrzak wygłosił wykład pt. „ŚŚ. Świerad i Benedykt a początki chrześcijaństwa w rejonie Dunajca”. Nasza koleżanka Anna Totoń wygłosiła wykład pt. „Św. Kinga Pani Ziemi Sądeckiej”.

Wykłady prowadzone były z bardzo dużym zaangażowaniem osobistym i uczuciowym i spotkały się z dużym zainteresowaniem i żywą reakcją słuchających.

Część pielgrzymkowa rozpoczęła się Drogą Krzyżową na murach Jasnej Góry. Przygotował i prowadził ją kapelan Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego ks. Józef Drabik z udziałem przewodników. Po raz pierwszy w historii pielgrzymek na murach było ciepło, wiał lekki wiatr i było bar-dzo dużo uczestników.

Msza Św. w Kaplicy Jasnogórskiej przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej pozostanie w pamięci nas wszystkich na zawsze a szczególnie pocztu sztandarowego: Małgorzaty Kieres, Marty Treit, Marzeny Hodun i chorążego Wiesława Wczesnego. W czasie mszy św. J.E. Abp. dr Edmund Piszcz poświęcił sztandar naszego Koła w asyście innych pocztów sztandarowych.

Wieczorne Czuwanie z Maryją przygotował i prowadził ks. dr Andrzej Jedynak z koleżankami i kolegami przewodnikami.

Niedzielną część pielgrzymkową rozpoczęliśmy od Mszy św. w Bazylice. W czasie mszy przewodnicy odnowili Ślubowanie Przewodników. Wręczyliśmy J. E. Abp. dr Edmundowi Piszcz dar ołtarza - namalowaną na desce kopię obrazu Przemienienia Pańskiego z Sądeckiej Bazyliki.

Część spotkaniową mieliśmy w sali im. O. A. Kordeckiego. Wykład, jak zawsze niezwykle barwnie, wygłosił ks. dr Jerzy Pawlik pt. „Specyfika oprowadzania po obiektach sakralnych przez przewodników turystycznych”. Natomiast O. prof. Zachariasz Jabłoński wygłosił wykład pt. „Przesłanie Sługi Bożego Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Stronę Trzeciego Tysiąclecia”. Niezwykle wzruszający przebieg miało wystąpienie kol. Kazimierza Dąbrowskiego, przewodnika z Lwowa, który prosił wszystkich przewodników o to, by nie zapominali o Polakach, którzy tam mieszkają, aby nie zapominali o polskim dziedzictwie kultury na Ukrainie, o polskich cmentarzach. Słowa Kazimierza Dąbrowskiego poruszyły głęboko słuchaczy (i piszącego te słowa), którzy ze łzami w oczach zgotowali Kazimierzowi aplauz na stojąco. Spotkanie zakończył ks. Prałat dr Jerzy Pawlik, który

w imieniu J.E. Abp. Edmunda Piszczaka udzielił wszystkim błogosławieństwa.

Odśpiewaniem Hymnu Przewodnickiego i wyprawieniem pocztów sztandarowych zakończona została XVII Ogólnopolska Pielgrzymka Przewodników na Jasną Górę.

W spotkaniu uczestniczyło 1519 przewodników z 106 kół przewodnickich. Nie sposób wymienić wszystko to co działo się w Częstochowie, spotkań, rozmów, wywiadów. Były to trzy niezapomniane dni, spotkania ludzi o takich samych zainteresowaniach, ogarniętych pasją poznawania świata a jednocześnie pokazywania jego piękna innym, dzielenia się z innymi swoimi wiadomościami i kulturą.

W czasie pielgrzymki prowadziliśmy stoiska promujące Ziemię Sąddecką, Sanktuarium Św. Kingi w Starym Sączu, sprzedawaliśmy wydawnictwa turystyczne oraz wyroby z wosku pszczelego i ubrania z polaru. Prowadziliśmy sprzedaż Cegiełki - Wotum przewodników, rzeźbę - figurę św. Jakuba, która ma stanąć na murach klasztornych za kilka lat. Można też było dostać pamiątkową pieczęć pielgrzymkową.

Dziękujemy tym wszystkim, którzy finansowo czy też nieodpłatnym wykonaniem pracy sponsorowali organizację pielgrzymki.

Serdecznie dziękujemy Zarządowi Głównemu Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Prezesowi Honorowemu oraz Członkowi Honorowemu PTT Maciejowi Mischke.

Dziękujemy Siostrze z Klasztoru Sióstr Klarysek a w szczególności siostrze Salomei za modlitwę, pomoc i przekazane materiały związane z kultem św. Kingi.

Przygotowanie, organizacja i prowadzenie tej pielgrzymki było dla wszystkich przewodników Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zaszczytem, niezwykle wydarzeniem. Wyzwoliło energię i chęć zaprezentowania, że jesteśmy obecni wśród braci przewodnickiej.

Po raz pierwszy stanęliśmy przed tak trudnym zadaniem. Świadomi byliśmy odpowiedzialności jaką spoczęła na Kole Przewodników PTT, które obchodziło dopiero „drugie urodziny” a było reprezentantem i wizytówką całego PTT.

Nagrodą było poświęcenie Naszego Sztandaru w Kaplicy Jasnogórskiej przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej oraz możliwość zobaczenia zborów Biblioteki Jasnogórskiej.

Szczególne podziękowania składam moim koleżankom i kolegom z Koła Przewodników Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego przy Oddziale PTT „Beskid” w Nowym Sączu - organizatorom: Annie Totoń, Małgorzacie Kieres, Marcie Treit, Marzenie Hodun, Danucie Rybie, Maciejowi Zarembie, Wiesławowi i Sławomirowi Wcześnym, Markowi Wojśławowi, Wojciechowi Szarocie, Adamowi Bossemu, Ryszardowi Patykowi, Edwardowi Borkowi, Markowi Budzie, Łukaszowi Musiałowi, Łukaszowi Gockowi, Wojciechowi Lippie, Jakubowi Owsiance, Pawłowi Kiełbasie, Maciejowi Michalikowi i innym za bezinteresowną, pełną godności, poświęcenia i wyrzeczeń pracę w przygotowaniu i prowadzeniu pielgrzymki, która zakończyła się sukcesem organizacyjnym naszego koła i Towarzystwa.

Jerzy Gałda

„Beskid” 2(44) 2001

Przy ognisku...

UPŁYWA SZYBKO ŻYCIE

Autorem słów i melodii tej bardzo popularnej piosenki, śpiewanej od kilku pokoleń na imieninach, różnych okolicznościach uroczystościach, a także przy ogniskach i na wycieczkach,

jest ks. Franciszek Leśniak ze Starego Sącza. Napisał ją w 1873 roku z podtytułem: „Na zakończenie roku szkolnego w gimnazjum w Nowym Sączu”.

*Upływa szybko życie,
Jak potok płynie czas.
Za rok, za dzień, za chwilę
Razem nie będzie nas.
Bis: Za rok, za dzień, za chwilę
Razem nie będzie nas.
I nasze młode lata
Poptyną szybko w dal,
A w sercu pozostanie
Tęsknota, smutek, żal.
Bis: A w sercu pozostanie
Tęsknota, smutek, żal.*

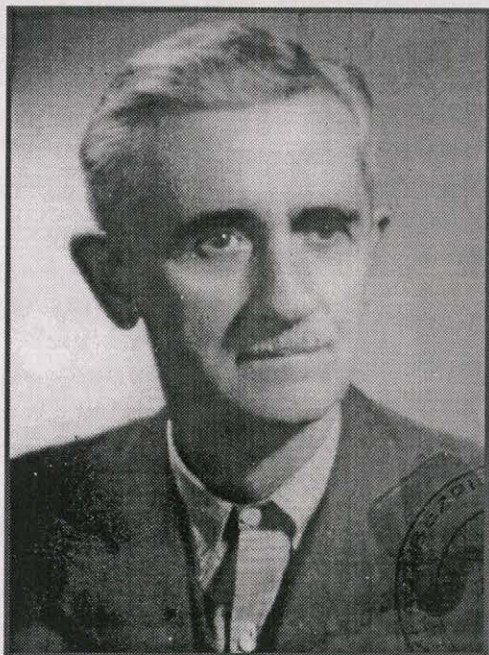
*Więc póki młode lata,
Póki wiosenne dni
Niechże przynajmniej teraz
Nie płyną gorzkie tży.
Bis: Niechże przynajmniej teraz
Nie płyną gorzkie tży.
Choć pamięć o nas zginie
Już za niedługi czas,
Niech piosenka w dal poptynie
Póki jesteśmy wraz.
Bis: Niech piosenka w dal poptynie.
Póki jesteśmy wraz.*

*A jeśli losów koło
Złączy zerwaną nić,
Będziemy znów pospółu
Śpiewać, marzyć, śnić.
Bis: Będziemy znów pospółu
Śpiewać, marzyć, śnić.*

„Beskid” 2(40) 2000

Feliks Rapf (1891-1972)

Poniżej przedstawiamy skrót pracy magisterskiej obronionej na Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie przez Urszulę Wąsowicz.



*„Prawdziwe bogactwo narodu stanowią nie
wydajność ziemi,
nie przemysł, nie urzędnictwa techniczne ani spo-
łeczne, lecz charaktery”.*

Mariusz Zaruski

Zdanie to w pełni odnieść można do Feliksa Rapfa, zasłużonego pedagoga i działacza turystycznego, który skupił w sobie większość szlachetnych cech charakteru ludzkiego i który całym swoim życiem służył młodzieży i adeptom turystyki górskiej. Jego działalność turystyczna tak w sferze organizacyjnej jak i publicystycznej miała charakter twórczy. Szereg głoszonych przez niego idei zachowało swą aktualność po dzień dzisiejszy.

Feliks Rapf urodził się 11 stycznia 1891 roku w Tarnowie, w rodzinie Edmunda i Józefy Rapfów. Jego ojciec był „zarządcą pocztowym”. Szkołę powszechną ukończył w Zbarażu, naukę gimnazjalną rozpoczął w Tarnopolu i kontynuował ją w Nowym Sączu zdając z odznaczeniem egzamin dojrzałości w I Gimnazjum im. Jana Długosza w roku 1909. W latach 1909-1911 studiował na Wydziale Inżynierii Politechniki Lwowskiej zdając z odznaczeniem egzamin państwowy. Następnie w latach 1911-1914 studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jana Kazimierza. Wybuch I wojny światowej przerwał studia.

Został przydzielony do służby wojskowej w 59. Pułku piechoty austriackiej w Salzburgu. Walczył na froncie rosyjskim i włoskim w południowym Tyrolu. W roku 1917 podczas urlopu z frontu włoskiego zdał we Lwowie egzamin na nauczyciela szkół średnich. Po odzyskaniu niepodległości walczył w armii polskiej w stopniu kapitana w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920 roku.

Po demobilizacji pracował przez rok jako nauczyciel fizyki i matematyki w II Państwowym Gimnazjum w Tarnowie. Po roku na własną prośbę został przeniesiony do Nowego Sącza i z miastem tym związał się na całe życie. Uczył w I Gimnazjum i Liceum im. Jana Długosza oraz w żeńskim Gimnazjum i Liceum im. Marii Konopnickiej. Równocześnie działał społecznie w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim będąc od 1924 roku prezesem Oddziału „Beskid”. Ożenił się z Austriaczką Idą. Miał troje dzieci - dwie córki: Kamilę i „Dziunię” oraz syna - Tadeusza.

24 sierpnia 1939 roku Feliks Rapf zostaje powołany do wojska i w stopniu kapitana bierze udział w kampanii wrześniowej. Po ucieczce z niewoli niemieckiej wraca do Nowego Sącza, gdzie jawnie uczy w Miejskiej Szkole Krawieckiej i Gospodarczej oraz w Powiatowej Szkole Zawodowej Rzemieślniczo-Kupieckiej. Równocześnie od stycznia 1941 do stycznia 1945 bierze czynny udział w zorganizowanym tajnym nauczaniu jako nauczyciel i egzaminator matematyki, fizyki i chemii w Tajnej Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury.

Po wyzwoleniu Nowego Sącza 20 stycznia 1945 roku Feliks Rapf przystępuje niezwłocznie do zorganizowania nauki w I Gimnazjum i Liceum im. Jana Długosza. Pełni obowiązki dyrektora szkoły od 1 lutego 1945 do sierpnia 1946 roku. Następnie pracuje w tej szkole nadal jako nauczyciel matematyki, fizyki i astronomii aż do przejścia na emeryturę w 1952 roku.

Po wojnie był także jednym ze współzałożycieli nowosądeckiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Astronomii i aktywnym popularyzatorem tej dziedziny wiedzy.

Jako emeryt kontynuuje działalność pedagogiczną prowadząc repetytoria z matematyki i fizyki dla kandydatów na studia wyższe i opracowując skrypty i podręczniki. Do końca życia jest aktywny. Mimo trudności mieszkaniowych i materialnych służy radą i pomocą innym - tak swoim uczniom - adeptom wyższych uczelni jak i działaczom turystyki nowosądeckiej.

Feliks Rapf zmarł 7 marca 1972 roku przeżywszy 81 lat.

Po raz pierwszy zetknął się Feliks Rapf z Tatrami jako uczeń drugiej klasy gimnazjalnej w roku 1903. Wycieczka była wyjątkowo źle zorganizowana i odbyła się w fatalnej pogodzie. Dopiero dwa lata później w czasie wakacji 1905 roku poznaje Tatry przy pięknej pogodzie. **“Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że ten ostatni krok na przełęcz, po którym odsłonił się nagle wspaniały widok na bajeczny świat Tatr - odsłonił mi TATRY na wiele, wiele lat późniejszych, w których góry stały się dla mnie niewyczerpaną skarbnicą podniosłych przeżyć i ucieczką od zwątpień i zawodów”** - wspominał po latach to swoje pierwsze wejście na Zawrat.

Począwszy od 1905 roku do wybuchu I wojny światowej niemal każde wakacje spędza Feliks Rapf w Zakopanem. Poznaje systematycznie Tatry, do każdej wyprawy przygotowuje się bardzo skrupulatnie. Gdy jako student zaczął się wspinać był już doświadczonym turystą, świetnie obeznanym z topografią Tatr. W lipcu 1908 roku zapisał się do Towarzystwa Tatrzańskiego, a następnie do jego Sekcji Turystycznej.

Wojna położyła kres jego poznawczej działalności taternickiej. 4 września 1914 roku wrócił do Tarnowa, by wkrótce rozpocząć służbę wojskową w Salzburgu. Służąc na froncie włoskim w południowym Tyrolu miał okazję poznać Alpy, zwłaszcza jako instruktor kursów wysokogórskich. Po rozwiązaniu kursu Feliks Rapf walczył na froncie i został ranny. Nie zapomniał jednak o Towarzystwie Tatrzańskim, przesłał z frontu pocztą polową 18 koron jako składkę za lata 1915-1917 i odwrotną pocztą otrzymał legitymację TT.

W lutym 1922 roku Feliks Rapf zamieszkał w Nowym Sączu. Wkrótce zapisał się do Oddziału “Beskid” PTT. Dnia 11 maja 1924 roku w czasie Walnego Zebrania Oddziału w nowosądeckim ratuszu wygłosił odczyt na temat “Towarzystwo Tatrzańskie, jego cele i obecna organizacja”. Na tymże zebraniu został wybrany prezesem Oddziału i jak się potem okazało, pełnił tę funkcję przez blisko ćwierć wieku! W latach 20-tych był członkiem Komisji Robót w Górach, a w 1935 roku był członkiem pierwszej Komisji Górskiej Odznaki Turystycznej.

Feliks Rapf zainicjował odnowę zniszczonych w czasie wojny szlaków turystycznych; wszak jako uczeń brał udział w pracach znakarskich pod kierunkiem prof. Sosnowskiego. W połowie 1924 roku zaczął praktycznie stosować nowy system znakowania szlaków, dodając do koloru podstawowego także dwa białe paski (początkowo znakowano tylko jednym kolorem, a od 1909 roku dodawano jeden biały pasek; zrobił to po raz pierwszy prof. Kazimierz Sosnowski z Oddziału “Beskid” w Nowym Sączu). Wspólnie z Witoldem Milewskim opracował szczegółowy system i zasady znakowania, wydane później w formie instrukcji. Jak później obliczył, wyznakował ogółem 471 km szlaków.

Jesienią 1924 roku z inicjatywy Feliksa Rapfa zorganizowano w Krynicy festyn, który przyniósł Oddziałowi 1.774 zł czystego zysku. Organizatorom nie chodziło jedynie o dochód, zależało im na pozyskaniu sprzymierzeńców na terenie nie zaktywizowanym jeszcze turystycznie. Bezpośrednim efektem tego przedsięwzięcia było powstanie w dniu 19 września 1924 roku Koła Krynickiego PTT przy Oddziale Nowosądeckim “Beskid”.

W roku 1926 Feliks Rapf wspólnie z członkami Oddziału urządził i uruchomił schronisko w Szczawnicy Niżnej na Piaskach. Brał bezpośredni udział we wszystkich poczynaniach i był bardzo emocjonalnie zaangażowany w budowę schroniska na Przehybie.

Bardzo ważnym elementem działalności Oddziału “Beskid” była organizacja wycieczek górskich. Brała w nich udział przeważnie młodzież szkolna korzystając ze niskowych składek członkowskich. Feliks Rapf prowadził młodzież w Tatry, Pieniny i Beskid Sądecki. Na łamach pisma “Turysta w Polsce” opublikował w roku 1935 bardzo interesujący i pouczający artykuł pt. “Wycieczki szkolne w Tatry” podając przykłady tras dla poszczególnych grup wiekowych. Podkreślał, że **“Nie po to przyjeżdża się w Tatry by po nich gonić, nieraz ostatnim tchem, ale po to, aby w nich przebywać”**. Co roku, w czasie wakacji i ferii Feliks Rapf prowadził przynajmniej kilka wycieczek dla uczniów i uczennic sądeckich gimnazjów. Uczestnicy przygotowywali się do wycieczek, poznawali trasę, rysowali na mapie jej przebieg, byli informowani o niezbędnym ekwipunku i prowiancie. W trakcie wycieczki pan Feliks trzymał się ściśle zaplanowanego harmonogramu; był w nim przewidziany czas nie tylko na wędrówkę górską, ale na zabawy, gotowanie herbaty na ognisku. Elementy te w połączeniu z emocjami wchodzenia na Zawrat czy oglądania pięknych panoram górskich stanowiły o niezapomnianym uroku tych wycieczek. Ukochany prezes wielu ludzi rozmiłował w Tatrach.

Podczas wycieczek zgromadził Feliks Rapf obszerny materiał fotograficzny, a później i filmowy. Stanowił on ilustrację do prelekcji, jakie wygłaszał w Nowym Sączu i innych miejscowościach.

Zarząd Oddziału “Beskid” zajmował się działalnością wydawniczą. Oprócz “Przewodnika po Beskidzie Zachodnim” K. Sosnowskiego, wydano w maju 1933 roku przewodnik Feliksa Rapfa z mapką i ilustracjami pt. “Park Narodowy w Pieninach”, a rok wcześniej sporządzoną przez niego mapę Pienin. Feliks Rapf napisał szereg artykułów prasowych o tematyce turystycznej.

Z ramienia Zarządu Oddziału brał udział w pracach Zarządu Głównego PTT. Na Walnym Zjeździe Delegatów PTT 22 kwietnia 1928 roku w Zakopanem został wybrany zastępcą członka Zarządu Głównego PTT, a w roku 1935 członkiem Zarządu Głównego PTT.

Jego bogatą i wielokierunkową działalność przerwała agresja Niemiec hitlerowskich na Polskę. Podczas oku-

pacji nie ustała troska Rapfa o dorobek wieloletniej pracy sądeckiego Oddziału PTT. Po powrocie z niewoli niemieckiej w październiku 1939 roku zastał lokal Oddziału w budynku "Sokoła" zdemolowany. Przeniósł wówczas mapy, ważniejsze akta i część biblioteki do I Gimnazjum, a po jego zajęciu przez Niemców do swojego mieszkania. 14 października 1940 roku władze niemieckie rozwiązały wszystkie towarzystwa i skonfiskowały ich majątek. Feliks Rapf z p. Gargulą ukryli cenniejsze akta, kartoteki, mapy, pieczętki, przepowiednie i część biblioteki u członków Towarzystwa.

6 czerwca 1945 roku reaktywowano formalnie działalność Oddziału PTT "Beskid" i wybrano Zarząd z prezesem Feliksem Rapfem. Po latach okupacji i wojny, w wyzwolonym kraju zarówno dawni działacze turystyczni jak i młodzież przystąpili energicznie do pracy. Najpilniejsze były roboty w górach: odnowa zniszczonych szlaków, odbudowa schronisk. W marcu 1947 roku uruchomiono Biuro Oddziału PTT w lokalu przy ul. Długosza 11. Funkcjonowanie Biura opierało się na społecznie pełnionych dyżurach. Feliks Rapf uporządkował i udostępnił bibliotekę Oddziału. Uporządkował archiwum w celu kontynuowania kroniki Oddziału. Także w 1947 roku napisał monografię "Prehyba", w której zawarł dzieje budowy schroniska.

Na Walnym Zgromadzeniu Oddziału w roku 1948 wybrano go znów prezesem Oddziału. 7 sierpnia 1948 roku na Jubileuszowym Zjeździe Delegatów PTT został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta i otrzymał honorową odznakę PTT.

19 lutego 1949 roku Feliks Rapf zrezygnował z godności prezesa Oddziału PTT w 25-tym roku pełnienia tej funkcji oraz z godności członka Zarządu Głównego PTT. Nadal pozostał aktywnym działaczem turystycznym. Wygłaszał prelekcje związane z kulturą i etyką turysty ilustrując je bogatym zbiorem przepowiedni i filmów.

Powstanie PTTK zmieniło oblicze turystyki górskiej. Nie była to już owa romantyczna, ściśle z naturą współbrzmiąca górska wędrówka. Zastąpiły ją masowe rajdy, zloty, wycieczki, w czasie których nie było czasu i miejsca na indywidualne obcowanie z przyrodą. O "wielkości" turystyki zaczęły decydować cyfry, jak największa liczba uczestników imprez była wykładnikiem dobrego działania organizatorów ruchu turystycznego. Nie odpowiadało to działaczom wychowanym na romantycznych wzorcach Towarzystwa Tatrzańskiego, do których zaliczał się Feliks Rapf.

Początek lat pięćdziesiątych był dla Feliksa Rapfa bardzo trudny. 1 lipca 1951 roku objął posadę kierownika biura Oddziału PTTK, ale w roku następnym z pracy tej zrezygnował. Kolejne rozczarowania zakończone zostały w roku 1956 jego odejściem z Oddziału PTTK "Beskid". Według relacji jednego z bliższych przyjaciół Rapfa został on przez Oddział PTTK nakłoniony do opuszczenia zajmowanego przez siebie mieszkania, w którym zlokaliz-

owano siedzibę Zarządu Oddziału. Feliks Rapf zamieszkał na peryferiach Nowego Sącza w pokoju wynajętym u obcych ludzi, bez wygod. Tak potraktowano człowieka, który dla organizacji turystycznej poświęcił 30 lat swego pracowitego życia. Długoletnie starania o garsonierę w bloku spółdzielczym dzięki pomocy przyjaciół i dawnych uczniów zakończyły się pomyślnie, tak że ostatnie lata życia spędził w godziwych warunkach. Uraz do końca życia pozostał.

Oto fragmenty listu napisanego przez Rapfa w roku 1969 do znajomego działacza PTT z Żywca: „Zazdroszczę Panu, że może Pan grawitować ku swojemu macierzystemu Oddziałowi w Żywcu. U mnie jest zgoła inaczej. Na skutek nieporozumień z Zarządem Oddziału musiałem nie tylko wystąpić z Oddziału, ale nawet zwróciłem dyplom członka honorowego... Co innego jednak doprowadza mnie do białej gorączki. Umasowanie turystyki należy do reklamowanego osiągnięcia Polski powojennej. Wpychanie w głowę każdego Polaka, że jest uprawniony do turystyki czy chce czy nie chce. Bo gdyby tylko nie chciał. Gdy jakiś zakład nie wie co ma począć z gotówką na jakimś tam koncie, to... urządza masową wycieczkę autobusem do Morskiego Oka. Obdarowano mnie raz przewodnictwem takiej wycieczki sądeckiej w Pieniny. Gdy wyszliśmy na Sokolicę wszyscy posiadali przykładnie... akurat tyłem do widoku. A gdy zacząłem objaśniać i pokazywać otoczenie i dalszą trasę wycieczki, otrzymałem w odpowiedzi: O rany! To jeszcze tak daleko! Przez Sokolą Perć dobiłszy jako tako do Polany Wymiarki i do źródelka. Gdy tylko dowiedzieli się, że po zwiedzeniu Trzech Koron będziemy wracali tą samą drogą, 90% uczestników pozostało na miejscu i poczekało na powrót. Skutek tego wszystkiego jest taki, że na szczyt Trzech Koron lub szczyt Giewontu trzeba się ustawiać w ogonku i czekać na swoją kolejkę. A niech taki indywidualny turysta spróbuje zanoć w schronisku. Niestety miejsca nie ma! Dlaczego? Bo wszystkie schroniska zajęte zawsze na kilkunastodniowe kursy i wczasy”.

W latach 1957-1969 był Feliks Rapf członkiem Oddziału PTTK w Szczawnicy, a w 1969 roku przeniósł się do Oddziału PTTK w Krynicy, ze względu na lepszą komunikację między Nowym Sączem a Krynica. W piśmie skierowanym do Rapfa wyrażono radość z decyzji przystąpienia do Oddziału tak zasłużonego działacza turystycznego. Feliks Rapf okazał się bardzo pomocny w organizacji Ośrodka Kultury Turystyki Górskiej KTG ZG PTTK na Jaworzynie Krynickiej. Na uroczystości otwarcia Ośrodka 18 października 1970 roku uhonorowano Rapfa dyplomem za wkład pracy dla dobra turystyki górskiej w Beskidzie Sądeckim. Była to przedostatnia wycieczka Feliksa Rapfa w góry. 10 miesięcy przed śmiercią wziął jeszcze udział w X Zlocie Młodzieży Szkolnej na Jaworzynie Krynickiej w dniach 5-6 czerwca 1971 roku.

Do końca swoich dni pozostał Feliks Rapf otwarty na sprawy turystyki i swoją osobą reprezentował te wszystkie cechy szlachetnego charakteru, które każą człowiekowi wychodzić naprzeciw drugiego człowieka. Coraz rzadziej niestety spotyka się ludzi pokroju Feliksa Rapfa,

dla których miłość do gór to nie tylko wewnętrzne przeżycie, lecz także potrzeba wprowadzania w góry innych.

Urszula Wąsowicz

„Beskid” 3(45) 2001

Historia Oddziału

W sierpniu ukazała się ponaddwustutnicowa praca Waldepamara Nadolskiego, omawiająca historię nowosądeckiego Oddziału PTT w latach 1906-1950. Książkę wydrukowało Centrum Poligraficzne „Małopolska” Łukasza Gocka i można ją zakupić w siedzibie naszego Oddziału oraz w Centrum Informacji Turystycznej i w nowosądeckich księgarniach. Poniżej przedrukujemy wstęp do tego pionierskiego wydawnictwa.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie jest najstarszą organizacją turystyczną w Polsce, której zasług dla rozwoju górskiej turystyki nie da się przecenić. I chyba nie ma takiej drugiej o równie długiej i pięknej tradycji.

PTT budowało schroniska, wytyczało turystyczne szlaki, organizowało przewodnictwo i ratownictwo górskie, wydawało przewodniki i mapy, inspirowało i prowadziło badania naukowe, było prekursorem ochrony przyrody, prowadziło działalność oświatową, kulturalną i sportową. Towarzystwo zajmowało się nie tylko wąsko pojętą turystyką. Dbało również o rozwój ziem górskich i kultury jej mieszkańców. Było także szkołą patriotyzmu i to nie tylko w czasach zaborów, gdy państwo polskie nie istniało, a Tatry nazywane były Ołtarzem Ojczyzny i uchodziły za symbol Polski niepodległej. Z tego patriotyzmu członkowie Towarzystwa dobrze zdali egzamin w trudnych czasach. Towarzystwo włączało się w najważniejsze sprawy kraju. Przyczyniło się do wygrania słynnego procesu o Morskie Oko. Brało też udział poprzez swych ekspertów w walce o ustalenie sprawiedliwych granic na terenie Spisza i Orawy po I wojnie światowej.

Nowy Sącz zawsze słynął z wielu szeroko znanych inicjatyw społecznych i patriotycznych. Ma też on piękne tradycje w rozwijaniu turystyki górskiej. Było to możliwe dzięki mieszkającym tu wspaniałym ludziom, ale też dzięki wyjątkowemu klimatowi tu panującemu, co spowodowało że ich praca znajdowała należyty oddźwięk i przynosiła zamierzony efekt.

Nie ma potrzeby wymieniać tu wyjątkowych osiągnięć nowosądeckiego Oddziału PTT. Jest o nich mowa na następnych stronach tej książki. Warto jednak zwrócić uwagę na kilka prekursorskich inicjatyw w skali kraju. Otóż właśnie w Nowym Sączu powstała pierwsza sekcja narciarska. Tutaj także ukazał się pierwszy przewodnik

po Beskidach autorstwa prof. Kazimierza Sosnowskiego, na którym wychowywały się całe pokolenia turystów. Tu wreszcie narodził się pomysł, aby przy znakowaniu szlaków dla lepszej widoczności dodawać jeden biały pasek (prof. Sosnowski), a później dwa (prof. Feliks Rapf).

Niestety, wkrótce po II wojnie światowej działalność PTT przestała się mieścić w ramach nowych porządków. Totalitarna władza komunistyczna nie tolerowała żadnych organizacji samorządnych, niezależnych od niej, a ponadto o „niesłusznym” klasowo pochodzeniu. Do wszystkich dziedzin życia na długie lata wtargnęła polityka. Systematycznie likwidowano setki różnych organizacji, w tym tak zasłużone jak Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, YMCA, Związek Harcerstwa Polskiego, Polską Akademię Umiejętności, Ligę Polską itp. Inne łączono ze sobą w celu łatwiejszego ich kontrolowania.

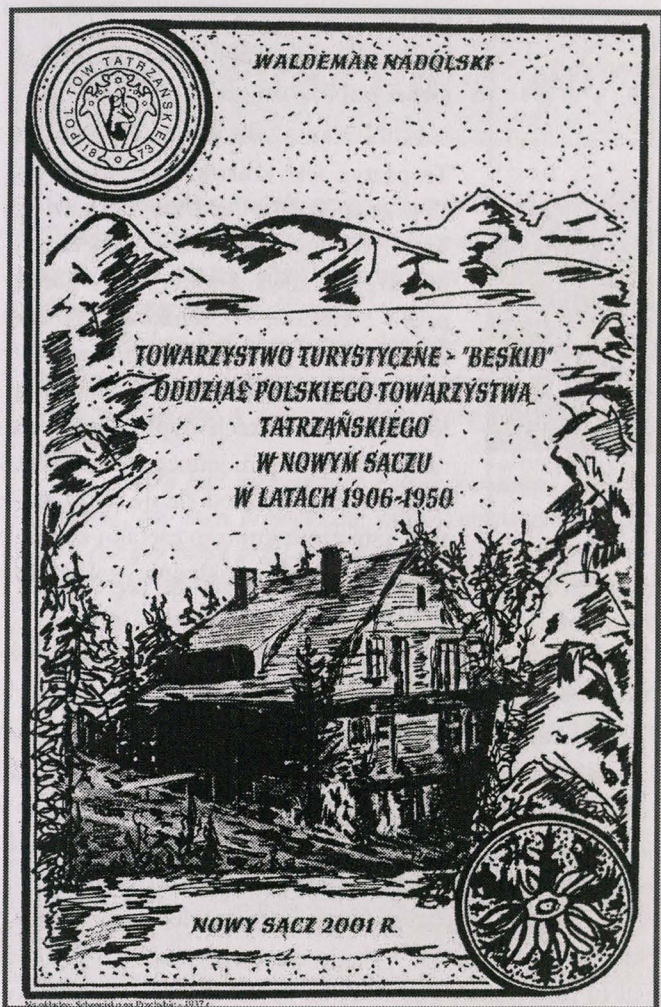
Los ten spotkał także Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Decyzję taką podjęto na początku 1950 roku (dokument Rady Turystycznej z 2 marca), a formalnie nastąpiło to podczas Zjazdu Delegatów PTT odbytego 16 grudnia 1950 r., kiedy podjęto wymuszoną uchwałę o treści:

„Na zasadzie § 50 statutu oraz 37 art. prawa o stowarzyszeniach Zjazd Delegatów uchwała:

- a) z dniem dzisiejszym rozwiązać Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
- b) cały majątek PTT łącznie z przejętym majątkiem Oddziałów przeznaczyć na rzecz nowopowstałego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego“.

Do końca lat 80. nie było w Polsce organizacji, która by w swoim statucie nawiązywała do tradycji PTT.

Bezskuteczne próby reaktywowania Towarzystwa miały miejsce w latach 1956 i 1957, a następnie w 1970. Jednak dopiero sierpniowy zryw społeczeństwa w 1980 roku stworzył możliwość odtworzenia samorządnej organizacji działającej wyłącznie na rzecz górskiej turystyki, z odrzuceniem wszechobecnego dotąd politycznego gorsetu. Ostatecznie Towarzystwo zostało reaktywowane 10 października 1981 r., choć na skutek wprowadzenia stanu wojennego i następujących po nim lat stagnacji, sądowa rejestracja PTT mogła nastąpić dopiero 9 grudnia 1988 r. Oddział w Nowym Sączu został reaktywowany 31 marca 1990 roku. Jego



działalność nie jest jednak tematem niniejszej książki.

Niestety, do dziś nie ukazała się kompletna i wyczerpująca monografia tak zasłużonej organizacji, jaką było i jest PTT. Próbę taką podjął Władysław Krygowski, jednak jego „Dzieje Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego”, wydane w 1988 roku są - jak sam pisze - niepełne z uwagi na różnego rodzaju trudności.

Na wydanie takiej monografii zasłużył też swą szeroką i wielokierunkową działalnością Oddział w Nowym Sączu. Niestety: w okresie PRL, do początku lat 90. wszelkie prace dotyczące sądeckiej turystyki „wyceniały” osiągnięcia PTT najwyżej na kilka stron druku. Wobec tej sytuacji podjąłem próbę zebrania wszystkich dostępnych materiałów, czego efektem była praca opublikowana w V i VI tomie „Pamiętnika PTT”, a następnie w numerach 17-19 „Almanachu Sądeckiego”, wydanych w latach 1996-1997. Z dużą nadzieją więc przyjęliśmy informację o zamiarze Waldemara Nadolskiego, studenta krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego, poświęcenia jego pracy magisterskiej historii nowosądeckiego Oddziału PTT. Udośćpniliśmy mu więc wszystkie materiały zgromadzone w archiwum Oddziału. Efektem tego była obroniona z wynikiem bardzo dobrym praca, obejmująca całą działalność nowosądeckiego PTT od jego powstania aż po 1999 rok.

Niniejsza książka jest kolejnym krokiem autora służącym poznaniu historii i dorobku Towarzystwa. Z wielkim wysiłkiem dotarł on do wielu nieznanych dotąd materiałów, rzucających wielokrotnie zupełnie nowe światło na jego dzieje, choć względy wydawnicze ograniczają tę kompetentnie napisaną książkę do roku 1950, a więc rozwiązania PTT.

Mamy nadzieję, że jest to tylko kolejny etap prowadzący do powstania pełnej monografii obejmującej całość dziejów i dokonań nowosądeckiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Życzlibyśmy sobie, aby mogła ona zostać wydana w stulecie jego powstania, czyli w 2006 roku.

Maciej Zaremba

Prezes Oddziału PTT „Beskid” w Nowym Sączu

im. Prof. Feliksa Rapfa

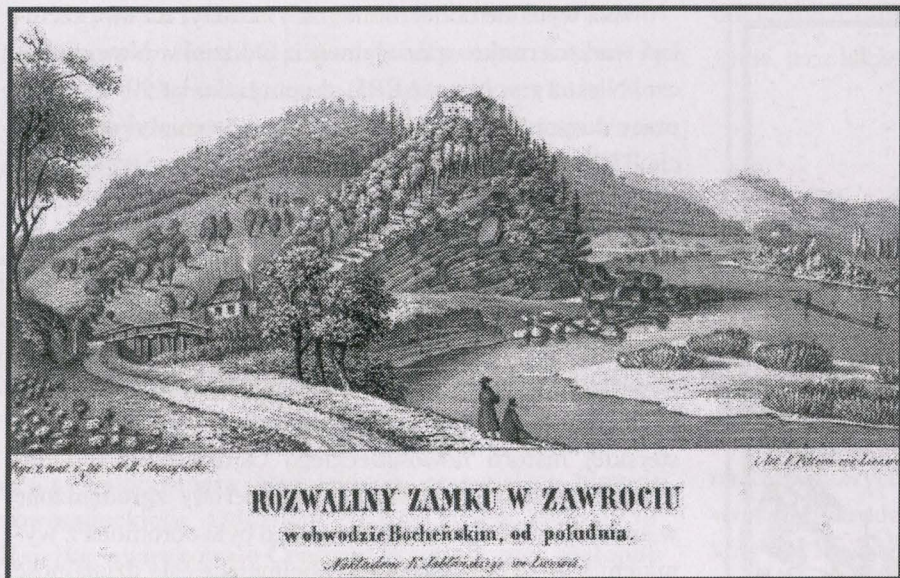
„Beskid” 4(46) 2001

Inkaski skarb nad Dunajcem?

Opowieść o Uminie - inkaskiej księżniczce mieszkającej w niedzickim zamku oraz indiańskim skarbie tutaj gdzieś ukrytym - należy do żelaznego repertuaru przewodników oprowadzających wycieczki. Opowiadają więc o Sebastianie Berzeviczym, którego awanturniczy charakter zaprowadził aż do Peru, o jego egzotycznym małżeństwie z inkaską księżniczką, udziale w antyhiszpańskim powstaniu, tragicznych losach jego rodziny. Przypomnijmy, że ponoć po klęsce kolejnego powstania, skarb Inków został podzielony na trzy części: jedną ukryto w jeziorze Titicaca, drugą w zatoce Vigo, a trzecią przywieziono do Niedzicy.

Wraz ze skarbem do zamku przyjechała córka Sebastiana Berzeviczego - także Umina wraz z małym synkiem Unkasem. Jednak mściwa ręka prześladowców (Hiszpanów? Inkwizycji?) dosięgnęła ją i tutaj. Według jednej wersji, pochowano ją w Niedzicy w srebrnej trumnie „pod basztą kapliczną”. Według innej - w Sromowcach. Młody Unkas został adoptowany przez Wacława Benesza Berzeviczy de Dondangen i ochrzczony imieniem Antoni.

Jego potomek, Andrzej Benesz, w 1946 r. wyszukał w krakowskim kościele św. Krzyża akt adopcji i w tym



ROZWAŁINY ZAMKU W ZAWROCIE
w powiecie Bocheńskim, od południa.

Podziemie N. Jankowskiego w Zawrocie.

samym roku odnalazł w niedzickim zamku ołowianą rurę zawierającą quipu - pęk rzemieni stanowiący pismo węzełkowe. Benesz zmarł w wyniku wypadku samochodowego i dziś nikt już nie wie, co stało się z węzełkowym pismem Inków, wskazującym miejsce ukrycia skarbów.

Tyle, że większość historyków ludzi zazwyczaj trzeźwo, a nawet podejrzliwie patrzących na tego rodzaju opowieści, niedzicką legendę włożyła między bajki. Niektórzy nawet wysnuli teorię, że posłużyła ona rodzinie Beneszów do dorobienia „przyzwoitego” pochodzenia dziecku urodzonemu niekoniecznie legalnie. Historycy znają wiele podobnych przypadków, także w naszym kraju.

Przed kilku laty jednak okazało się, że – jak w każdej legendzie – tak i w tej może kryć się ziarno prawdy. Tyle, że chyba raczej nie należy jej szukać w Niedzicy. Zamek – przy okazji generalnego i wszechstronnego remontu – został gruntownie zbadany. Nie znaleziono tam grobu Uminy, nie znaleziono tam skarbów. Bo też są one ukryte zupełnie, ale to zupełnie gdzie indziej. O wiele bliżej Nowego Sącza. W podziemiach zamku Tropsztyn w niewielkiej miejscowości Wytrzyścza. Tak przynajmniej twierdzi ks. Stanisław Pietrzak, proboszcz parafii w Tropiu, gdzie przed dziesięcioma wiekami opowiadał nową wiarę św. Świerad. W najstarszej księdze metrykalnej, zapisanej w latach 1616-1668, odnalazł zapis pochodzący z r. 1622:

„Został ochrzczony chłopiec imieniem Ferdynand. Ojcem jego – wielmożny Mikołaj z Berzevice, baron. Matką – szlachetnie urodzona Jadwiga z domu Stadnicka. Małżonkowie prawni. Chrzestnymi byli szlachcice: Adam Tworkowski z Zawady i Anna Wiernek”.

Wiadomo, że Andrzej Benesz, potomek Berzeviczych, w swoim czasie usilnie zabiegał o kupno ruin Tropsztyna, który wówczas był kupą gruzów. Sam – jako wicemarszałek Sejmu i przewodniczący Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego - nie

bardzo mógł angażować się w poszukiwania. A później umarł i zabrał swoją wiedzę do grobu.

Obecnie właścicielem zamku Tropsztyn jest krakowsko-nowosądecki przedsiębiorca Andrzej Witkowicz. To on sfinansował odbudowę, a raczej budowę od nowa zamku, który gościł przed wiekami potomków Synów Słońca i którzy właśnie tu, a nie w Niedzicy, złożyli swój skarb. Poświadczają to ekspertyzy trzech dyplomowanych radiestetów (w tym jednego Holendra), którzy niezależnie od siebie zlokalizowali „znaczne skupisko metali i kamieni szlachetnych”, dokładnie wskazując to miejsce.

A więc – czy wydobycie skarbu Inków z podziemi tropsztyńskiego zamku jest tylko kwestią czasu?

– Nie – odpowiada obecny właściciel. – Nie szukałem tutaj skarbów i nie będę ich szukał. Niech to, co było zamku historią, pozostanie jego legendą.

Zresztą nie jest to już możliwe. Wejście do podziemi zostało zalane trzystoma tonami betonu. Nikt już nie wydobędzie złota i drogich kamieni przywiezionych z dalekiego kraju, którego kulturę zamordowali biali ludzie. Jeśli tu jest, pozostanie tutaj na zawsze. Tak, jak legenda, którą opowiadają przewodnicy wycieczkom zwiedzającym niedzicki zamek, a która przeniosła się także i do Tropsztyna.

Oczywiście, niejedynemu sceptyk wzruszy ramionami, uznając to wszystko za wymysły i „przesądu światła i ciemności”. Ale tego typu opowieści, nawet zmyślane, mają twardy żywot. Nikt nie wierzy w wawelskiego smoka, złotą kaczkę na Tamce, bazylijską, kwiat świętojański i inne niezwykłości, które poznajemy jeszcze jako dzieci. Ale o ileż uboższe bez nich byłoby nasze dzieciństwo? Dlatego dopóki będzie stał niedzicki zamek, będzie w nim mieszkała Umina i jej mały synek, strzegący tajemnicy inkaskiego skarbu, spoczywającego na wieki w odbudowanym Tropsztynie.

Przed wojną Wytrzyścza i Tropie rozdzielał tylko Dunajec. Dziś rozpościera się tu jezioro, w którego wodach jednak odbijają się sylwetki zamku Tropsztyn i kościoła w Tropiu. Może ksiądz proboszcz Stanisław Pietrzak, żywo interesujący się swoim świeckim sąsiadem, widział kiedyś zjawy błędzące po zamkowych komnatach, pilnujące zakopanych skarbów? Jeśli ktoś będzie w Tropiu, niech zapyta...

Zainteresowanych powyższą zagadką odsyłamy do książki Aleksandra Rowińskiego pt. „Pod klątwą kapłanów”

Jacek Zaremba

„Beskid” 4(46) 2001

Piękno i góry. Góry i piękno

*Pięknie jest w słoneczne południe na ukwieconej hali.
Pięknie w tchnących chłodem spaszach północnej ściany... w
uginających się pod okiścią smrekowym lesie... w dujawicy
śnieżnej, gdy ręki nie dojrzysz...*

*Piękne jest poznawanie Gór, gdy cię prowadzi pew-
na ręka Mistrza (mam w żywej pamięci pierwsze kroki w
Górach, stawiane w śladach mojego brata i Mistrza, Kazi-
mierza).*

*Dobre jest wędrowanie z wypróbowanym towarzy-
stwem... gdy sam prowadzisz zachwyconego przyjaciela...
albo też gdy masz przy sobie załamanego towarzysza, naj-
mniejszym gestem nie możesz okazać chwili niepewności...
beztroskie godziny w szatasie czy schronisku w gronie tak
samo czujących...*

*Gdy na wysokiej perci spotkasz nieznanego wę-
drowca, nie obcego, lecz znajomego, który przy następnym*

*spotkaniu będzie już znany przyjacielem..., kilka słów rzu-
conych w przelocie, drobna pomoc z jego strony czy twojej.
W górach odkrywasz Człowieka, staje ci się on Towarzyszem
Tatrzańskim.*

*Nieważne czy nosi zielony pas Polskiego Towarzy-
stwa Tatrzańskiego, czy inny przydzwiek.*

*Sądzę, że nie tak ważna jest znajomość topografii
Gór, ich niebezpieczeństw, znajomość techniki. Ważna jest
umiejętność wczucia się w Góry, w ich Piękno.*

Góry, Piękno, Człowiek.

*Tak widzę ludzi z Polskiego Towarzystwa Tatrzań-
skiego oraz ich przyjaciół. Ludzi Gór.*

Piękno, Góry, Człowiek.

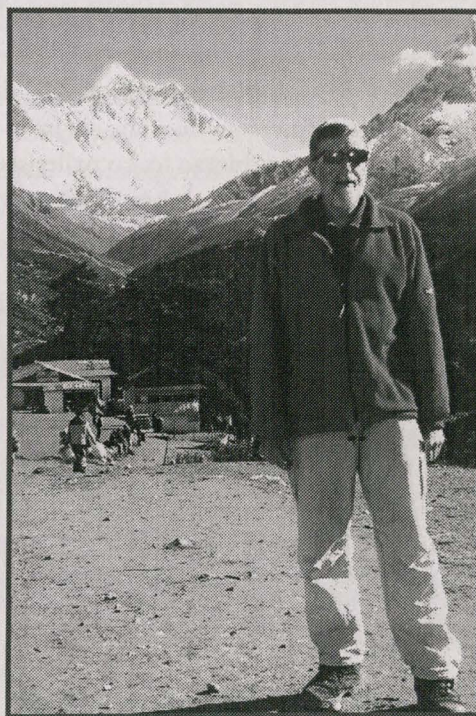
Maciej Mischke „Pamiętnik PTT” t.1 (1992)

„Beskid” 1(52) 2004

Góry marzeń

Najkrótsze podsumowanie tej wyprawy mogłoby brzmieć: dostałem w kość, ale warto było. A tak naprawdę, to obydwa te stwierdzenia są znacznie przesadzone. Po pierwsze - nie było tak źle, choć wysiłek związany z niesieniem przez wiele dni ciężkiego plecaka na wysokościach często wyższych niż Mont Blanc, to nie był oczywiście spacer. Turysta jest jednak tak oszołomiony tym, co widzi na trasie oraz tak zajęty myślą, co jeszcze ma nadzieję zobaczyć, że o zmęczeniu prawie zapomina. A po drugie - powiedzenie że warto było, to zdecydowanie za mało. Tego się nie da ani opisać, ani pokazać na zdjęciach. To trzeba po prostu przeżyć, a pobyt tu można uznać za przeżycie najwyższe. Jest się przecież w samym sercu najwyższych gór świata, najbliżej - jak tylko sobie można wyobrazić - natury, czy jak kto woli - Boga. Nawet jeżeli nie jest to sam wierzchołek Mount Everestu, a trzy tysiące metrów niżej. Jest się w jednym wielkim sanktuarium. Z zachwytem ogląda się i przeżywa oszałamiające krajobrazy - ośnieżone himalajskie olbrzymy, huczące rzeki i potoki, wodospady oraz jeziora, w których odbijają się te wspaniałe góry. Także przyrodę - żyjącą tu w surowych warunkach zwierzęta, lasy, hale i często zaskakująco kolorowe kwiaty. Również unikatowe wytwory człowieka, to, co w harmonii z przyrodą stworzył. Właśnie to sanktuarium sprawia, że jego duch przenika do ich wiary, tradycji, zwyczajów, ich życia, a nawet wytworów ich rąk. Widzimy na ogół biedne i proste zabudowania

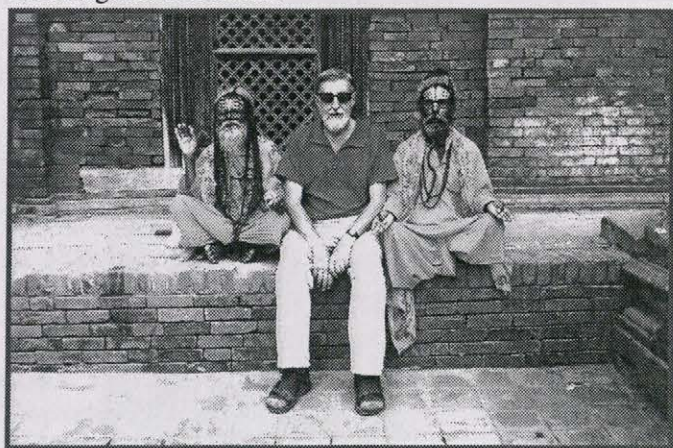
mieszkalne i gospodarcze, czy uprawne terasy formowane na bardzo stromych nieraz zboczach. Widzimy też to, co związane jest z kulturą duchową - mniej lub bardziej okazałe, ale zawsze kolorowe gompys, pagody, stupy, czorteny i bramy, a nawet kamienne modlitewne mani. Wreszcie



Mt. Everest i Lhotse z Tengboche

sami mieszkańcy, stanowiący przecież część przyrody. Mimo że w większości pracują w obsłudze przyjeżdżających tu setkami tysięcy obcych, pozostali sobą, wierni swojej tradycji i kulturze, spokojni, przyjaźni i pogodni mimo wyjątkowo ciężkiej pracy, którą wykonują i surowych warunków życia.

I na koniec turyści, którzy wchodząc w tutejszy obcy im przecież kulturowo świat, zdumiewająco łatwo przyjmują jego reguły i dostosowują się do nich, również stając się częścią całości. I tu nasuwa się szersza refleksja. Tam, gdzie stale mieszkamy, na co dzień ocieramy się o chamstwo, czy nieżyczliwość, a w najlepszym przypadku o obojętność na los innych. Na ulicach mijamy różnych meneli czy męty, z których wielu to pospolici przestępcy - złodzieje czy nawet rabusie. Góry niewątpliwie selekcionują ludzi, nawet nasze, niższe niż Himalaje. W góry chodzą tylko ci, którzy poszukują wyższych doznań, posiadający potrzebę przeżywania czegoś głębszego. Wymaga to sporo wrażliwości i chęci doświadczenia czegoś innego i lepszego niż świat pozostawiony na dole. Menele tam nie chodzą, bo nie odczuwają takiej potrzeby i nie byłoby zresztą w stanie we właściwy sposób gór przeżyć. Wydaje się, że czym góry wyższe, widać to wyraźniej. Himalaje stanowią najlepszy przykład na to, co wyżej napisałem. Tu przyjeżdżają ci, którzy stanowią swojego rodzaju elitę, poszukując wyższych, nieznanych im dotychczas przeżyć. I jak sądzę, nie zawodzą się. Himalaje przyciągają jak magnes. Ku przerażeniu lekarzy i fizjologów, przyjeżdżają tu nawet ci, którzy do tej pory po górach, nawet tych najniższych, nigdy nie chodzili. Ci ludzie to wcale nie margines. Często kończy się to tragicznie. Dwa takie przypadki zdarzyły się w trakcie mojej wyprawy. Wszyscy oni chcą być jednak w tym sanktuarium, chcą chłonąć jego piękno i czuć jego atmosferę. Są gotowi nie tylko czerpać z tego bogactwa, ale także dać coś z siebie, jak choćby wysiłek na trasie, czy akceptację trudnych i surowych warunków pobytowych. I może podczas tej wędrówki zmieniają się, stają się inni - lepsi, życzliwsi i bogatsi duchowo, biorąc to, co najlepsze z tutejszego świata dzięki kontaktom z himalajską przyrodą i mieszkańcami, a także innymi turystami. Udziela się im duch tego sanktuarium.



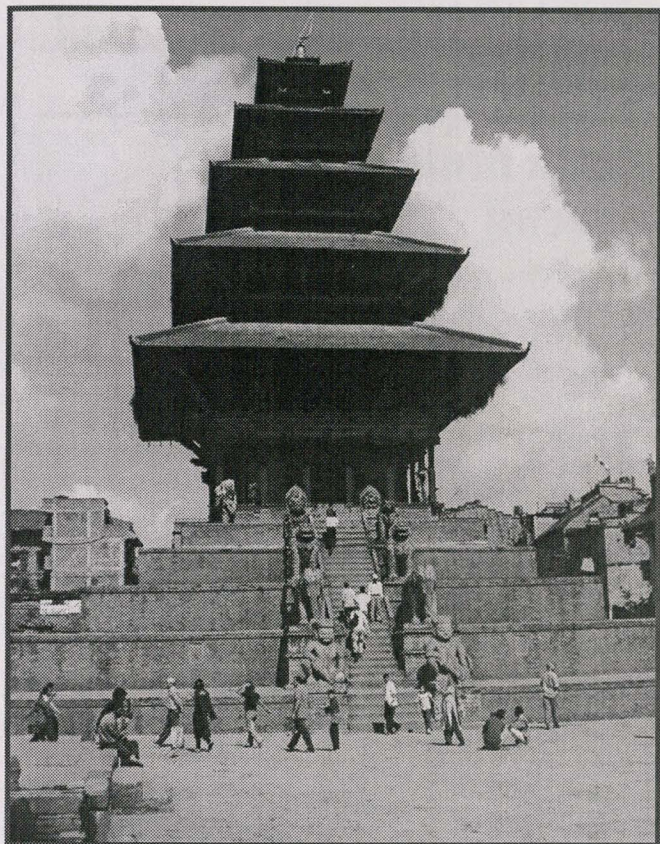
„Trójca święta”

Spotkałem niemało osób, pragnących uciec choćby na kilka tygodni czy miesięcy od problemów tego świata. Wędrujących na ogół samotnie osób skrzywdzonych przez los czy innych ludzi. Spotkałem tu „nawiedzonych” w pozytywnym sensie tego słowa, idealistów promieniujących wręcz życzliwością, szukających tu potwierdzenia tego, w co wierzą. Znamienne jest to, że podczas wielodniowej wędrówki, stykając się lub choćby mijając z tysiącami osób, nie spotkałem się z przypadkiem chamstwa, braku kultury czy nieżyczliwości. Charakterystyczne, że podczas całej wyprawy nie widziałem ani jednego turysty z papierosem w ustach podczas marszu, czy odpoczynku.

Wprawdzie mówię tu cały czas o trekkersach, a więc osobach wchodzących w głąb tutejszych gór, ale myślę jednak, że dotyczy to także innych turystów, uczestników typowych imprez objazdowych organizowanych przez agencje, zwiedzających Nepal i jego zabytki a widzących Himalaje tylko z okien samolotu podczas specjalnych lotów wzdłuż tych gór. Wydaje mi się, że jeżeli ktoś wybiera Nepal jako cel wycieczki, nie czyni tego przypadkowo. Choć zapewne na ogół ci turyści nie byłoby w stanie podołać trudom trekkingu, ale przyjeżdżają właśnie tutaj, wybierając Nepal, zamiast jakiejś południowej plaży i bezmyślnego smażenia się na słońcu. Przyciąga ich magia, kultura i atmosfera tego kraju, choć nie ma tu wspomnianych plaż, czy w europejskim znaczeniu lokali nocnych, dyskotek, ani kasyn.

To, że tak idealistycznie napisałem o Nepalu i ludziach, nie znaczy wcale, że jest to raj na ziemi zarówno dla mieszkańców, jak i turystów. Nie ma idealnych krajów, nie ma idealnych ludzi - Nepalczyków, czy turystów. Jestem daleki od idealizowania i udawania, że nie widziałem w tym kraju ciemniejszych stron życia. Jest to jednak Azja i Europejczyka może razić wiele rzeczy. Musi się liczyć z pewnymi niedogodnościami i być na nie przygotowany. Nie jest on przede wszystkim przyzwyczajony do tutejszych standardów higienicznych, pobytowych czy komunikacyjnych. Ich stan wynika jednak głównie z trudnych, surowych warunków, w jakich tutejsi mieszkańcy muszą żyć. Nepal zawsze był i nadal jest biednym krajem. Ludzie pracują tu wyjątkowo ciężko. Oczywiście w ostatnich latach wiele zmieniło się na lepsze. Potwierdzają to nawet ci, którzy poznali ten kraj zaledwie kilkanaście lat temu. Poprawa ta dotyczy też, a może głównie turystów. Nepal, żyjąc z turystyki i chcąc przyciągnąć tu więcej odwiedzających, podnosi standard ich obsługi. Niemniej dzięki temu kraj rozwija się a tym samym zyskują też jego mieszkańcy. Rzecz tylko w tym, aby zachodnia cywilizacja nie odebrała Nepalczykom ich tożsamości kulturowej. By korzystali tylko z tego, co w naszej cywilizacji jest dobre i by z tego potrafili we właściwy sposób korzystać. Wierzę, że tak będzie.

Gdy byłem w Himalajach i patrzyłem na olbrzymie, zdawało się niemal sięgające nieba ośnieżone szczyty,



Pagoda w Bhaktapurze

miałem uczucie, że uczestniczę w czymś nierealnym. Musiałem sobie ciągle powtarzać że przecież naprawdę tu jestem. Teraz, gdy wróciłem z wyprawy, dalej mam wrażenie, że to wszystko wydarzyło się we śnie. O tym, że tam rzeczywiście byłem, uświadamiają leżące na półce liczne pamiątki - dzieła rąk mieszkańców tej krainy, ka-

mien ze stoków Everestu, płyty z fascynującą nepalską muzyką oraz kilkaset zdjęć w albumie.

I właściwie to byłoby wszystko, co chciałbym napisać, a co zrobiłem na gorąco, bo dosłowaie na drugi dzień po powrocie do Nowego Sącza, by zachęcić innych do odwiedzenia Nepalu, nawet niekoniecznie samych gór. Czynię to, choć zdaję sobie sprawę z pewnej bariery finansowej. Bywają na pewno tańsze wycieczki, choć przy trafieniu na promocyjną cenę biletu lotniczego i biorąc pod uwagę śmieszne koszty pobytu (cena noclegu w górach to mniej niż 3 złote!), miesięczna wyprawa do Nepalu odpowiada miesięcznemu pobytowi w dobrym domu wczasowym, np. w Kołobrzegu. Zapraszam więc w imieniu zawsze gościnnych Nepalczyków.

Maciej Zaremba

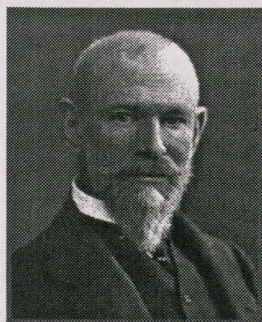
Krótki bilans wyprawy

Trwała ona 34 dni, od 9 października do 11 listopada 2005 r. Z tego 14 dni na trekkingu w rejonie Mount Everestu oraz 3 dni w górach w okolicy Kathmandu. Najwyższe szczyty na które wszedłem to Chhunkhunk Ri - 5559 m oraz Kala Patthar - 5545 m.

Zwiedziłem dokładnie zabytki doliny Kathmandu, wpisane na listę dziedzictwa światowego przez UNESCO - aktualną stolicę Kathmandu, a także miasta będące kiedyś stolicami samodzielnych państewek - Patan i Bhaktapur. Kilka dni spędziłem również w Pokharze i okolicach - w rejonie Annapurny. W drodze powrotnej zatrzymałem się na dwa dni w Indiach, zwiedzając Delhi oraz Agrę ze słynnym Taj Mahal.

„Beskid” 1(58) 2004

Fryderyk August hr. Breza - pierwszy Prezes



Urodzony w Dreźnie w roku 1859, zmarł dnia 3 listopada 1908. Założyciele „Beskidu” poważnie zastanawiali się nad tem, w czyje ręce złożyć ster i losy powstającego Towarzystwa. Wybór padł na ś. p. Brezę, właściciela dóbr Witowice Dolne i posłą naonczas do Rady Państwa, obywatela znanego ze społecznej działalności. Wątpili oni

jednak, czy wybrany, obarczony już wieloma obowiązkami, przyjmie na siebie jeszcze jeden; lecz zawiedli się miło, gdyż ś. p. Breza bezzwłocznie godność prezesa przyjął i na członka założyciela przystąpił. Człowiek niezwykle uprzejmości, delikatności i uczynności, był wzorem ścisłego spełniania obowiązków przyjętych i nieustrudzonej pracowitości.

Ani trzy mile kołowej drogi do Sącza, ani najgorszy stan powietrza, nie były mu przeszkodą do pojawiania się między pierwszymi na posiedzeniach Oddziału, którymi umiał kiero-

wać z-icie parlamentarną wprawą. Jako prezes Sandeckiego okręgu Towarzystwa rolniczego ofiarował on bezdomnemu „Beskidowi” pomieszczenie w lokalu tego Towarzystwa, zajmował się żywo każdą jego sprawą, popierał je swoim wpływem, nie szczędząc czasu i wydatków na wyjazdy; był gorącym rzecznikiem połączenia „Beskidu” z Towarzystwem Tatrzańskim. Nie wyliczając kolejno zasług Zmarłego, dość będzie powiedzieć, że przez półtrzecia roku swej prezesury był On zarazem dobrodziejem Oddziału, który Mu w-swym rozwoju wiele ma do zawdzięczenia. Śmierć przedwczesna, bo w-49 roku życia zaledwie, zabrała Go rodzinie i społeczeństwu; „Beskid” utracił w nim wiele. Imieniem Oddziału oddali Zmarłemu ostatnią przysługę Dr Pec i-prof. Wiliński i złożyli wieniec na jego grobie.

Cześć pamięci zacnego Obywatela i nieodżałowanego prezesa!

K. Sosnowski

(Przedruk z „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego”, 1909)

„Beskid” 3(51) 2003

Baca rozmawia z turystą.

- Zabitek wcoraj 10 ćmów - chwali się baca.
- Ciem - poprawia turysta.
- Kierpcem...

Młody góral staje przed komisją poborową.

- Panie porucniku. Jo to byk kcioł służyć w marynarce.
- To się da zrobić. Pływać umiecie?
- A po co? To ni mocie okrentów?

Turysta spotyka górala poganiającego stado owiec.

- Dokąd je prowadzicie baco?
- Do chałupy. Będę je w izbie hodował.
- Przecież będzie straszny smród!
- Bedom się musioły przyzwycaić.

W Morskim Oku w przerębli kąpie się góral. Turyści pytają:

- Baco, nie zimno wam?
- Ni.
- Ciepło?
- Ni.
- A jak wam jest?
- Stasek.

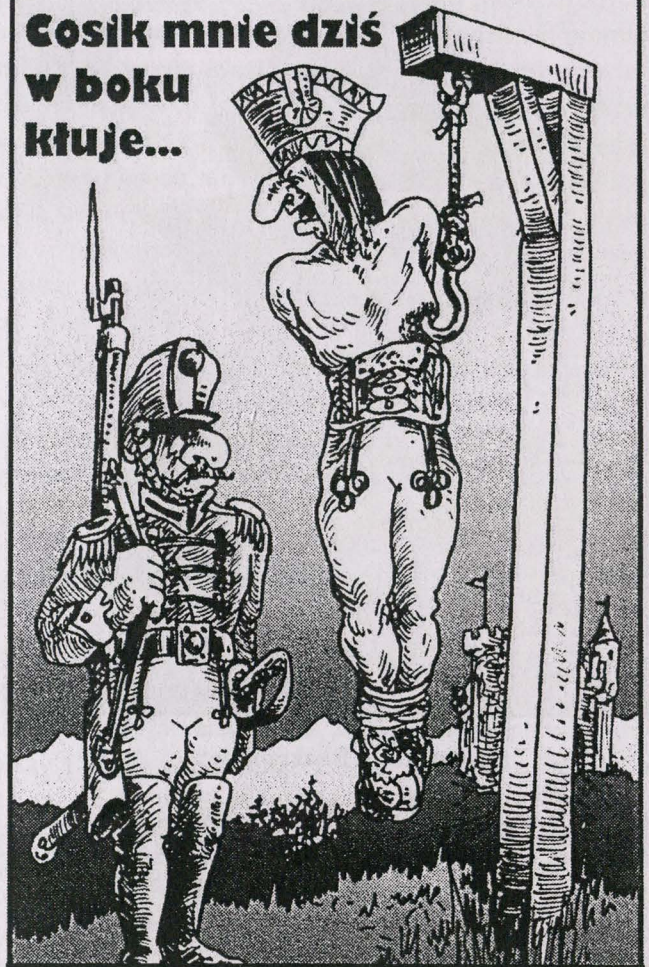
Turysta pyta:

- Baco macie wrzątek?
- Mom, ale zimny.



Z życia górali...

**Cosik mnie dziś
w boku
kłuje...**



- Baco, widzieliście ten wypadek?
- Ano, widziotek.
- Jak to się stało?
- Widzicie panocku to drzewo?
- Widzę.
- A oni nie widzieli.

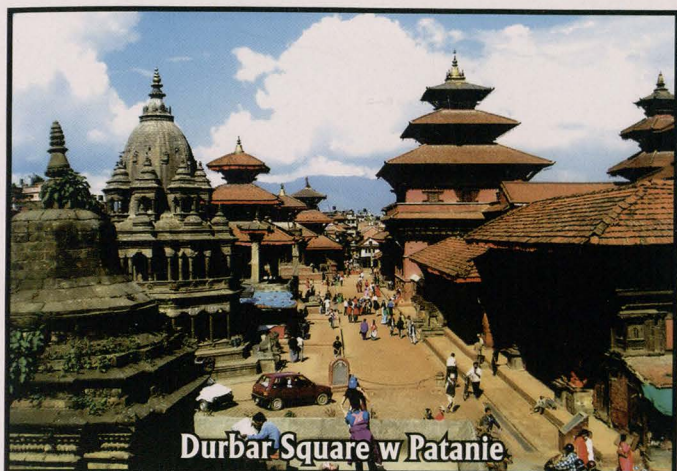
Turysta pyta bacę:

- Dlaczego tyle pijecie?
- Bo wiycie, mom mnóstwo kłopotów, panie.
- Znamy się tyle lat i ciągle pijecie. Wasze kłopoty powinny się już dawno utopić.
- Ale wiycie, panie, óne się nauczyły pływać.

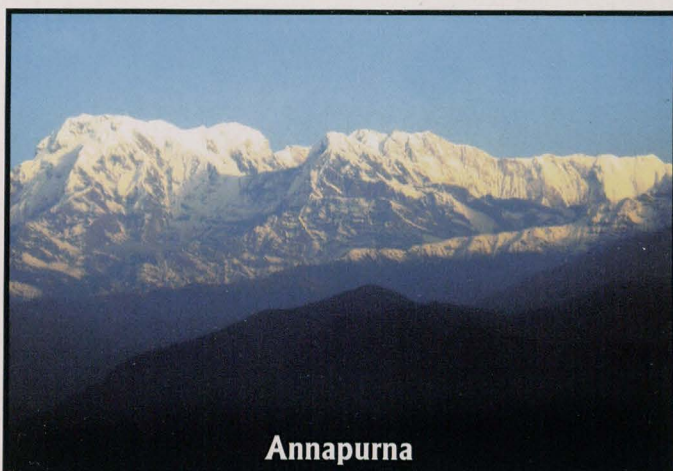
Spotyka się dwóch gazdów.

- Józus, cóz tam przecie? Mówiom, ze się łożeniłeś.
- No, ba jako.
- To musis być szczęśliwy?
- Oj, musem, musem.

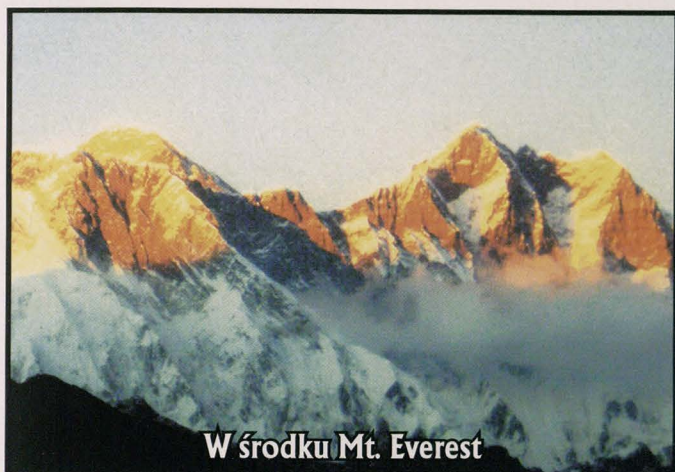
Nepal 2005



Durbar Square w Patanie



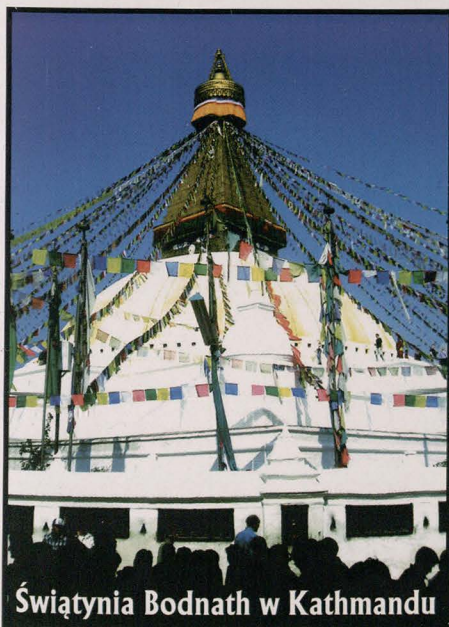
Annapurna



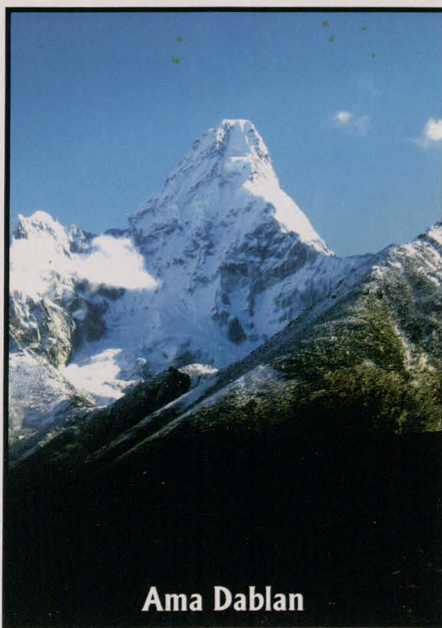
W środku Mt. Everest



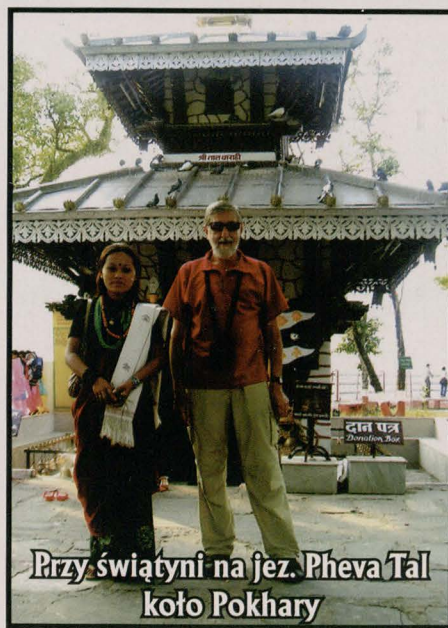
Machhapuchhare, czyli „Rybi ogon”



Świątynia Bodnath w Kathmandu



Ama Dablan



Przy świątyni na jez. Pheva Tal
koło Pokhary

Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Nowego Sącza

SIEDZIBA ODDZIAŁU: 33-300 Nowy Sącz, Rynek 15 (Biuro Podróży „Artus-Tourist”)

www.pttns.of.pl

Beskid - Pismo do użytku wewnętrznego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddziału „Beskid” w Nowym Sączu.

Redaguje zespół

Nakład: 600 egz.

Nr ISSN: 1426-6776.

Druk: Poligrafia Małopolska, ul. Traugutta 3, 33-300 Nowy Sącz, tel. (018) 547 40 50, www.poligrafia.malopolska.pl